Stanisław Rudnicki

Wspomnienia
prawie
stuletnie

Kraków 2007

Spis Treści

PRZEDSŁOWIE **5**

MOJA RODZINA **5**

DZIECIŃSTWO **9**

OKRES GIMNAZJALNY **10**

STUDIA. DANUSIA **13**

WAKACJE W ZAKOPANEM I JASTARNI **16**

JAGA PEHR 18
ZAKOPANE 19

POZNAŃ **21**

RODZINA DANUSI 23

II WOJNA ŚWIATOWA **25**

WYJAZD Z POZNANIA 27
DALEJ NA WSCHÓD 28
POWRÓT ZE WSCHODU 31
DO WOJNICZA I POZNANIA 35
DŁUŻNIEWICE 36
WOJNICZ 40

PO WOJNIE **45**

RESTAURATOR 45
POWRÓT DO PRACY W BANKU 47
WAŁBRZYCH 47
KIELCE 50
KROSNO 51
CHOROBY. ŚMIERĆ DANUSI 53

KRAKÓW **54**

ŚLUB Z KAZIĄ 55
PRACA W KRAKOWIE 55
ZNAJOMI I PRZYJACIELE W KRAKOWIE 58
BUŁGARIA I JUGOSLAWIA 62
ZMIANY W BANKU W ROKU 1970 63
EMERYTURA 65

KREWNI, PRZYJACIELE, ZNAJOMI **65**

MOJE DZIECI I WNUKI 65
KAZIA I JEJ RODZINA 67
KSIĄDZ WŁADYSŁAW GĄDEK (8.IX.1884 - 4.VIII.1951) 70
RENATA PRAWDZIC-RUDZKA (ZWOŹNIAKOWA) (1930 – 5.I.1997) 72
ZDZISŁAW ZWOŹNIAK 74
ANDRZEJ SZCZYPIORSKI 75
ZOFIA I BRONISŁAW KRAWCZYKOWIE 77
STANISŁAW KRAJEWSKI, BRONISŁAWA JARECKA, GOMEZOWIE 78

KOŃCOWE REFLEKSJE **80**

MOJE POGLĄDY 80
1. INSTYNKTY 80
2. SPOŁECZEŃSTWO - WŁADZA 80
3. POLITYKA 81
4. GOSPODARKA 81
5. RELIGIA 81

6. ZIEMIAŃSTWO, ARYSTOKRACJA, ELITY INTELIGENCKIE 82
MOJE DEWIZY 83

PODZIĘKOWANIA 84

DODATKI 85

RAROGIEWICZE W USA 85
MOJE MALARSTWO 86

Przedsłowie

Nie zamierzałem pisać wspomnień z mojego długiego życia, ale pod naciskiem moich dzieci i żony, zgodziłem się, zbyt późno (mając 97 lat), odtworzyć skrótowo to, co w zapiskach i pamięci pozostało.

Niezależnie od tego utrwalałem te wspomnienia przez kilkakrotne opowiadanie przeżyć swoim rodzicom, bratu i swoim znajomym (i oczywiście dzieciom), a w końcu mojej żonie Kazi. To częste powtarzanie utrwaliło moje wspomnienia.

Zwlekałem z tym pisaniem, gdyż uważałem, że każdy może mieć różne poglądy wynikające z wielu przyczyn: wykształcenia, zainteresowań, a nawet pochodzenia czy religii. A więc każdy czytający wspomnienia chciałby w nich znaleźć potwierdzenie własnych poglądów.

Wobec tego można by powiedzieć, że „jeszcze się taki nie urodził, który by wszystkim dogodził".

Niedawno też miałem inną jeszcze przestrogę, a mianowicie moja dozgonna przyjaciółka napisała także wspomnienia, które wywołały burzę rodzinną.

Wbrew temu, mając 97 lat (a więc o 15 do 20 lat za późno) zdecydowałem się jednak napisać. Okazałem więc słabość charakteru.

Rozpoczynając pisanie przyjąłem następujące założenia:

1. „Wspomnienia" mają mieć charakter wybiórczy, to znaczy, że poruszę te tematy, które – moim zdaniem – były istotne lub ważne w moim życiu, oraz charakteryzują moją osobę (indywidualność).
2. Dotyczą wydarzeń z okresu przedwojennego, czasu wojny i pracy w okresie powojennym na tle sytuacji historycznej i politycznej.

Założenia powyższe uległy jednak – na prośbę moich bliskich – poszerzeniu polegającym na informacjach dotyczących osób z kręgu rodziny, przyjaciół i znajomych.

Moja rodzina

Mój Ojciec Jan pochodził z zubożałej szlachty, która mając majątek na wschodnich rubieżach Polski wszystko utraciła.
Ojciec pokpiwał sobie nazywając ją "szlachtą chodaczkową".

Ojciec miał dwóch braci: Włodzimierza i Bogdana. Pierwszy był nauczycielem, a drugi nauczył się krawiectwa we Wiedniu i miał zakład krawiecki. Ponadto miał Ojciec siostrę Stefanię, która była nauczycielką.

Jak to wówczas bywało, dawni ziemianie szukając jakiejś pracy najczęściej byli nauczycielami. A więc tak mój dziadek, jak i Ojciec mieli ten zawód. Ojciec bardzo szybko awansował, dlatego przenosiliśmy się często do różnych miejscowości uzyskując korzystniejsze warunki. Ojciec miał przekonania zbliżone do socjalizmu. Był jednym z założycieli Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Matka Helena z domu Rarogiewicz de Rappé (czyli herbu Rappe) również pochodziła z rodziny ziemiańskiej. Jednak z różnych powodów rodzina majątek utraciła, a resztę dopełniła wojna, gdyż tereny te przechodziły z rąk do rąk. Zachowała się stara fotografia jej ojca Franciszka Rarogiewicza de Rappe na odwrocie której umieściła opis.
Herb Rappé pochodził z Prus Wschodnich, a rodzina Rarogiewiczów pieczętowała się nim od roku 1782 (wg herbarza). Rodzina Rarogiewiczów spokrewniona była z jedną z linii Radziwiłłów (było tych linii sześć).

Mama miała siostrę, która zmarła po maturze na zapalenie płuc.

Fot. 1. Od lewej: ja, moja babcia (za strony mamy) Katarzyna Redaab i rodzice z Zeniem

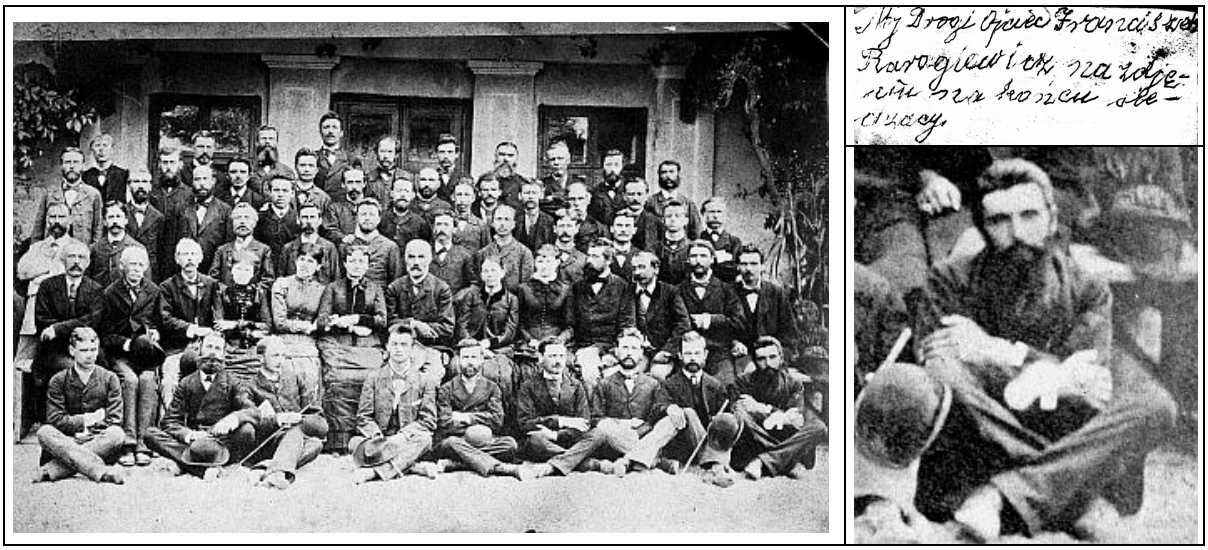

Fot. 2. Mój dziadek Franciszek Rarogiewicz de Rappe

Fot. 3. Dom w Rudkach

Herb Rappe

Jej brat Franciszek był zawodowym wojskowym w wojsku austriackim. Dosłużył się stopnia kapitana. Brał on udział w pierwszej wojnie światowej, w tym w ciężkich walkach pod Jarosławiem. Przyjeżdżając na urlop przywoził nam różne „militarne" zabawki: szable, strzelby i inne, oraz różne gry, które my bardzo lubiliśmy. Po wojnie wybudował sobie duży dom w Rudkach w województwie lwowskim. Ponieważ małżeństwo wuja Franciszka było bezdzietne, to dom zapisał mojej Mamie. Rudki znajdują się na terenie obecnej Ukrainy.

Mama miała poglądy konserwatywne. Do końca życia miała sprawny umysł. Zmarła 14. X. 1978 r.

Cioteczny brat Mamy Emil Rarogiewicz był w latach 20-tych przedstawicielem dyplomatycznym USA w Helsinkach i mieszkał w Vipori-Viborg. Za każdym razem gdy nas odwiedzał (po drodze z Finlandii do USA lub odwrotnie) przywoził prezenty. Jednym z nich był drewniany konik z którym widać mnie na fotografii. Namawiał on moich rodziców do wyjazdu z Polski i twierdził, że w tym położeniu między wschodem i zachodem bardzo długo nie będzie Polska bezpieczna.

Rodzina Mamy była wykształcona i zasobna. Mieszkała jednak od nas w dużej odległości, wobec czego kontakty były rzadkie. Niektórzy tylko osiedlili się w Starołęce pod Poznaniem i namawiali nas, aby razem z nimi kupić sobie dom. Projekt ten nie odpowiadał jednak mojemu Ojcu.

Rodzina Rarogiewiczów była bardzo solidarna. Wszyscy myśleli o tym aby służyć radą i pomocą innym członkom rodziny, była to więc solidarność rodowa.

Namawiali nas by przenieść się na zachód Polski - z czego skorzystaliśmy.

Dwukrotnie oferowano nam wydatną pomoc materialną - z czego nie skorzystaliśmy. Pierwszą ofertę złożył Emil Rarogiewicz - namawiając byśmy się przenieśli na stałe do USA i obiecując całkowitą pomoc w urządzeniu się w tym kraju.

Druga oferta wyszła od Rarogiewiczów ze Starołęki pod Poznaniem - proponujących bezterminową pożyczkę na kupno domu.

Miarą "patriotyzmu" rodowego był następujący fakt: przedstawiciele władz USA proponowali Emilowi udział w rządzie pod warunkiem zmiany trudnego do wymawiania nazwiska. Wówczas Emil odpowiedział, że ważniejsze jest dla niego poczucie godności rodowej niż praca w administracji USA i wrócił do dawnego zawodu zakładając kancelarię adwokacką.

Mój brat Zenon urodził się w 1912 roku. Ukończył studia ekonomiczne w Poznaniu (u profesora Taylora). Jakiś czas pracował w Banku Gospodarstwa Krajowego w Poznaniu, zyskując powszechną sympatię. Był wesoły i dowcipny. Potem przeszedł do pracy w Radzie Narodowej miasta Poznania, gdzie był na stanowisku wiceprzewodniczącego Miejskiej Komisji Planowania.

Obaj mieliśmy odmienne poglądy, a także innych znajomych i przyjaciół. Zeniu dla wszystkich okazywał przyjaźń i zrozumienie, nawet dla tych, którzy mieli odmienne poglądy. I tak okazywał życzliwy stosunek do wykluczonych i wyrzuconych ze studiów idealistów jak Kędzierski i Władysław Matwin, którzy w czasie wojny przebywali w Rosji. Po wojnie pierwszy został prezydentem Poznania, a drugi wojewodą wrocławskim, a potem przeniósł się do Warszawy i pracował w KC PZPR.

Szczególna przyjaźń łączyła go z hrabią Cezarym Platerem, mającym swój majątek i pałac w miejscowości Góra pod Poznaniem nad Wartą. Przyjaźnił się również, utrzymując stałą korespondencję ze znanym polskim konstruktorem statków profesorem Jerzym Derferem. Profesor Derfer w czasie wojny przebywał w Anglii, a po wojnie wrócił do kraju i pracował na Politechnice Gdańskiej kontynuując swoją pracę naukową w dziedzinie budowy statków.

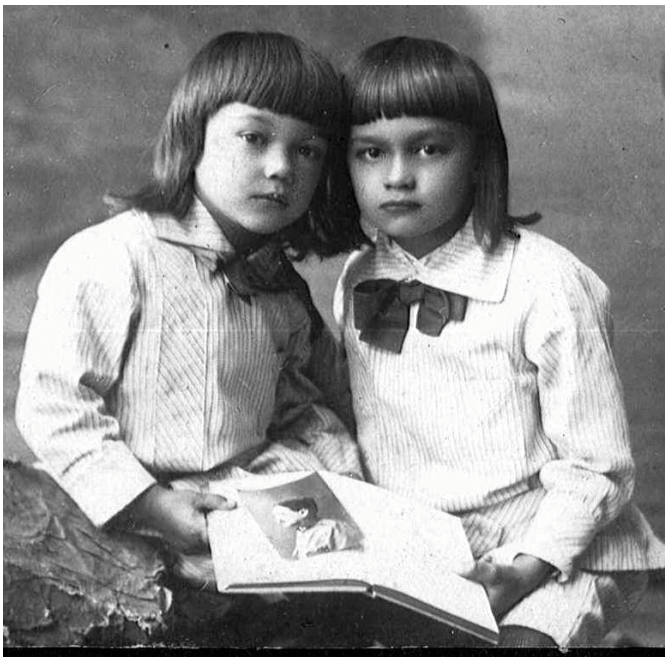

Fot. 4. Zeniu i ja

Fot. 5. Zenon przebrany za "czerwono-armiejca"

Kolegą Zenia na studiach ekonomicznych był też Zdzisław Jeziorański (później znany pod pseudonimem Jan Nowak Jeziorański). Wymieniali sobie materiały naukowe, a ze względu na trudne warunki materialne często korzystał ze skryptów naukowych Zenia.

Miałem jeszcze drugiego brata Mariana, który zmarł w latach dwudziestych, zaraz po urodzeniu, gdyż posiadał jakąś wadę genetyczną, której ówczesna medycyna nie mogła usunąć.

Miałem też ciotkę Lizę Rarogiewicz, którą widać na zdjęciu poniżej.

Fot. 6. Z lewej ciotka Liza Rarogiewicz i moja Mama, z prawej mój Ojciec i ja

Dzieciństwo

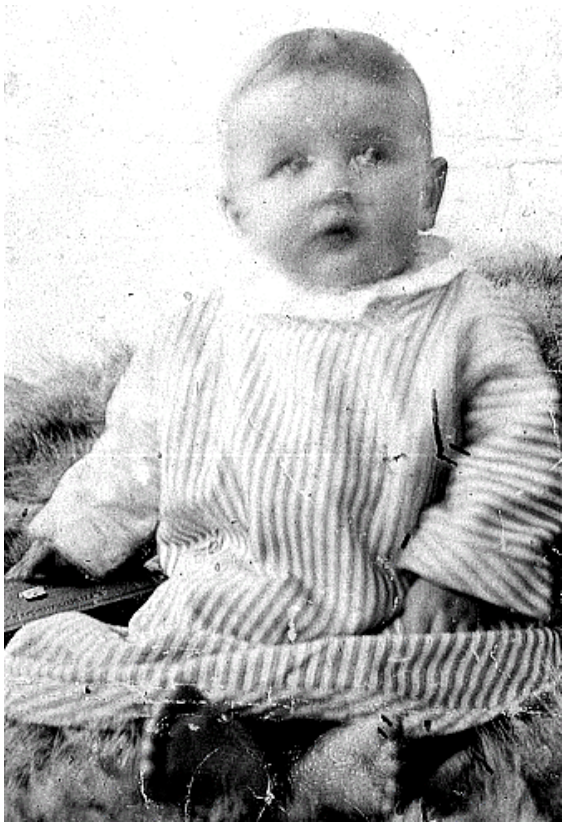

Fot. 7. Mam roczek i trzymam kasetę fotograficzną - zapowiedź przyszłego zainteresowania fotografią

Urodziłem się 21 sierpnia 1910 r. „w drodze", w czasie podróży moich rodziców (a formalnie w Nowosielicy koło Doliny i Stanisławowa, który teraz leży na Ukrainie i nazywa się Iwano-Frankowsk).

W okresie lat 1910 do 1914 mieszkaliśmy kolejno w Dolinie, Niniowie Dolnym koło uzdrowiska Morszyn i w Stryju.

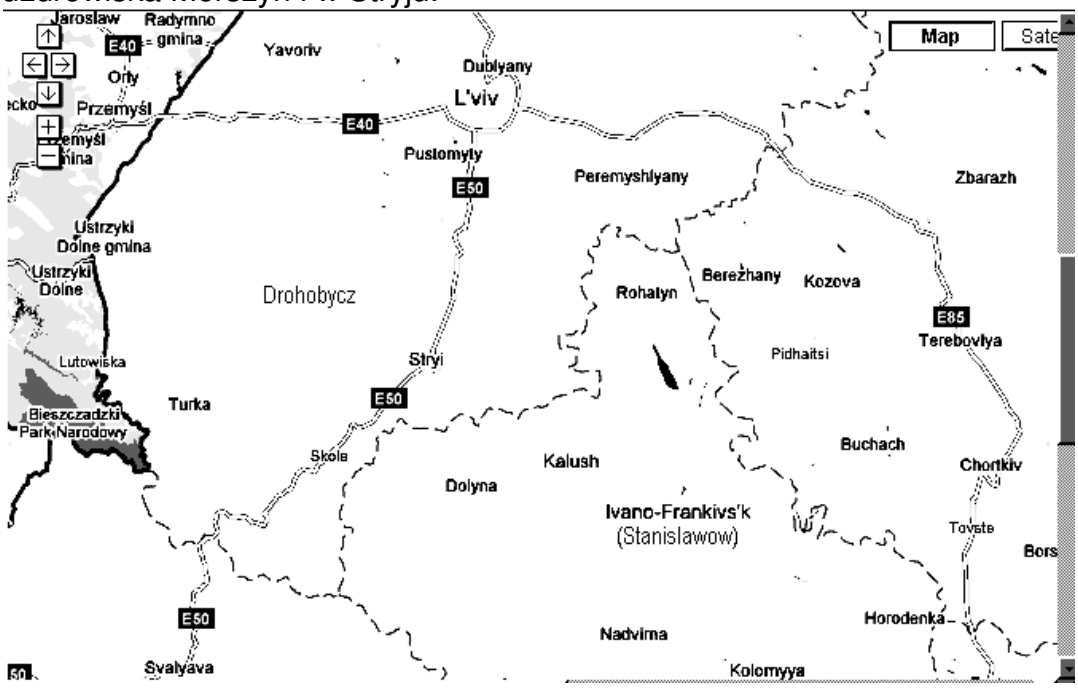

Fot. 8. Mapa Kresów Wschodnich przedwojennej Rzeczypospolitej (obecnie Ukrainy)

W latach I Wojny Światowej 1914 - 1920 rodzice wraz ze mną i moim bratem Zenonem uciekali na zachód i dotarliśmy do miejscowości Kozy koło Bielska-Białej.

Nasza podróż odbywała się w bardzo ciężkich warunkach, razem z trenami wojsk austriackich, wzdłuż Karpat. Jechaliśmy prowizoryczną drogą, zbudowaną przez wojsko, ze ściętych bali.

Fot. 9. , Fot. 10. Na lewym zdjęciu mam konika otrzymanego od wujka Emila Rarogiewicza

Po zakończeniu wojny wróciliśmy do poprzedniego mieszkania na wschodzie, w którym – jak się okazało – pozostała tylko część mebli. Wobec tej sytuacji oraz tworzących się korzystnych warunków mieszkania i pracy na ziemiach zachodnich i za namową rodziny mojej Mamy, wyjechaliśmy na Kujawy do wsi Ruchocinek k/Inowrocławia.

Podróż odbywała się wagonem towarowym przez 2 tygodnie. W wagonie, w którym przewoziliśmy także pozostałe na wschodzie meble, zainstalowano nam żelazny piecyk służący do ogrzewania (późna jesień) i gotowania posiłków.

Okres gimnazjalny

Pobyt na wsi okazał się nieudany, wobec czego wyprowadziliśmy się do Inowrocławia, miasta położonego w dużej części na terenie zalanym wodą przez kopalnię soli, my jednak mieszkaliśmy na terenie niezagrożonym przy ulicy Św. Ducha 84.

Inowrocław był wówczas miastem kuracyjnym (sanatoria, kąpiele solankowe).

W 1922 roku chodziłem do 1. i 2. klasy gimnazjum humanistycznego im. Jana Kasprowicza.

W wieku chłopięcym lubiłem wyjazdy na wakacje do leśniczówki we Młynach (pow. Strzelno). Leśniczym był wujek mojej mamy Henryk Stępkowski herbu "Suche Komnaty". Stępkowski pokpiwał sobie, że powinien mieć herb "puste komnaty" gdyż jako dawny ziemianin stracił wszystkie dobra na skutek różnych zmian granic Polski na wschodzie. Musiał więc szukać jakiejś pracy, Po zdaniu różnych egzaminów został leśniczym. Bardzo lubiliśmy Młyny z dużym ogrodem, huśtawką i wyprawami na polowania na dzikie kaczki i króliki, przy których towarzyszyła nam sfora psów.

Żona wujka Stępkowskiego - z domu Rarogiewicz - ciocia Aniela była bardzo

serdeczna i uczynna. Byli jednak małżeństwem bezdzietnym. Aniela miała siostrę, noszącą po mężu nazwisko Hanisz, która po śmierci męża po paru miesiącach zmarła pozostawiając trójkę dzieci: Edwarda, Helenę i Mariana. Aniela wychowała je i zapewniła wykształcenie.

Fot. 11. Ja w mundurku gimnazjalnym

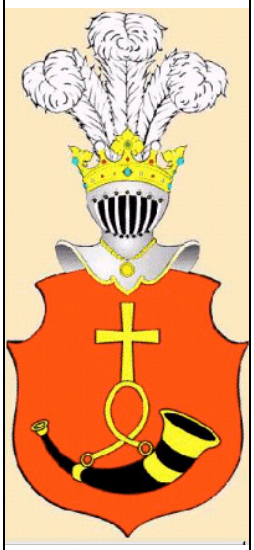

Fot. 12. a) Henryk Stępkowski, b) Herb "Suche Komnaty"

Edward po skończeniu studiów na Politechnice Lwowskiej i Prawa, został w końcu jednym z dyrektorów w Centrali Banku Inwestycyjnego w Warszawie.

Helena była nauczycielką, a najmłodszy Marian upodobał sobie zawód leśniczego. Stępkowski rodzinę Haniszów nazywał "zabijakami" . Rzeczywiście ojciec tej trójki, jak i jego bracia - wszyscy ziemianie - słynęli ze sporów i walk ze swymi sąsiadami - coś jak u Fredry. Do określenia "zabijaka" bardzo pasował też Marian posiadający dużą siłę fizyczną i odwagę.

Fot. 13. Gimnazjum w Gnieźnie. Na prawo od księdza siedzi prof. Jan Kołodziej (gospodarz mojej klasy) oraz prof. Borczowski (malarz). Ja z prawej trzeci od góry.

W roku 1925 przenieśliśmy się do Gniezna, w którym było gimnazjum typu staroklasycznego (8 lat łaciny i 4 lata greki). Biorąc lekcje musiałem nadrobić 2 lata łaciny. W Gnieźnie często chorowałem (zapalenie płuc i oskrzeli) co spowodowało utratę jednego roku w szkole.

W okresie rekonwalescencji zacząłem malować – najpierw farbami wodnymi (akwarele), a potem olejnymi. O moim młodzieńczym malowaniu i powrocie do niego na emeryturze napisałem w osobnym rozdziale na końcu.

W Gnieźnie również zacząłem naukę gry na skrzypcach.

Pierwszych lekcji udzielał mi ojciec, który bardzo dobrze grał na skrzypcach, a następnie zapisałem się na prywatne lekcje do pana Giżejewskiego.

Ciekawa była historia moich skrzypiec. W czasie pierwszej wojny światowej w armii austriackiej służyli ludzie różnych narodowości. Między nimi był Włoch z Cremony, który zaprzyjaźnił się z moim ojcem. Miał on ze sobą skrzypce, z którymi się nie rozstawał, lecz kiedy dostał rozkaz wyjazdu na front, nie mógł ich zabrać ze sobą. Poprosił więc mojego ojca o ich przechowanie, do czasu jego powrotu. Niestety z frontu nie wrócił i skrzypce zostały u mego ojca. Wewnątrz skrzypiec była naklejka o treści: *„Stradivarius cremonensis A.D."* (rok nieczytelny).

W czasie drugiej wojny światowej ojciec z Poznania wyjechał do Warszawy, zabierając skrzypce ze sobą. Ojciec mieszkał w Warszawie w kamienicy, która została zburzona w czasie nalotu niemieckich bombowców. Taki był żałosny koniec tych skrzypiec. Na szczęście ojca w czasie nalotu nie było w tej kamienicy.

Wracając znów do okresu pobytu w Gnieźnie, to tam nauczyłem się dobrze jeździć na łyżwach, ponieważ w okresie czterech miesięcy zimowych miałem kartę na lodowisko.

Fot. 14, Fot. 15. Inka Wiland, Fot. 16. Bracia Krysińscy (z prawej Zygmunt)

a) 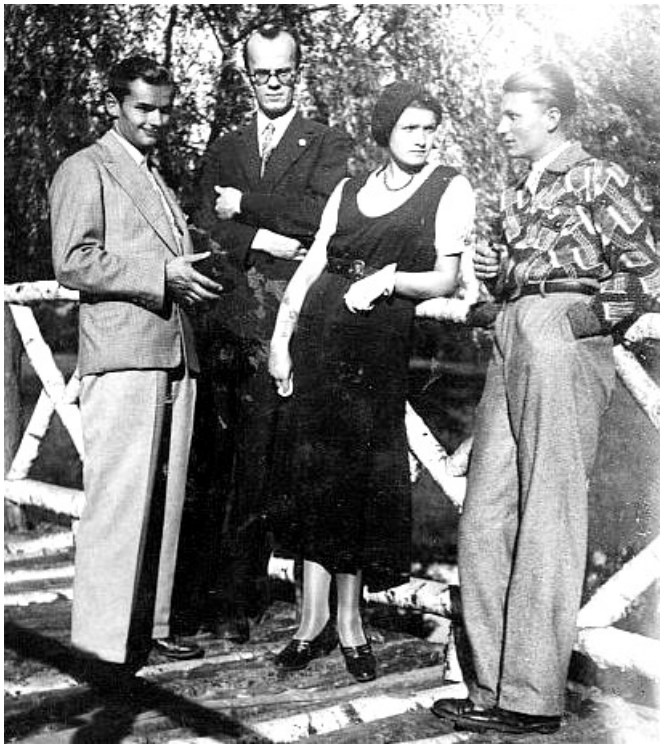

b)

Fot. 17. Obarski, Ola Obarska (śpiewaczka), Stanisław Sokulski, Fot. 18. Ola Weigel

W Gnieźnie poznałem m. in. Inkę Wiland, w której podkochiwali się wszyscy koledzy z gimnazjum, w tym i ja. Ale po maturze wyjechałem na studia do Poznania i nasze drogi życiowe rozeszły się. Inka po paru latach wyszła za mąż za kapitana żeglugi morskiej pana Dybka. Podczas wojny pomiędzy ZSRR, a Niemcami prowadził on konwoje zaopatrzeniowe z Zachodu do Władywostoku. Cały ten okres towarzyszyła mu Inka. Wspomina o tym Arkady Fiedler w swojej książce p.t. „Dziękuję ci kapitanie".

Tam też nawiązały się przyjaźnie, które przetrwały długie lata (Weiglowie, Krysia i Władek Jareccy, Algusiewicz, Sokulski i inni). Ola Weigel była siostrą moich kolegów. Jej ojciec był sędzią, a stryj twórcą szczepionek we Lwowie.

W 1931 roku otrzymałem świadectwo maturalne. W tymże roku moi rodzice przenieśli się z Gniezna do Poznania.

Studia. Danusia

W latach 1931 do 1937 studiowałem prawo i ekonomię na Uniwersytecie Poznańskim i w roku 1937 otrzymałem dyplom magistra.

Z Danusią Gądek (5.VIII.1913 - 18.V.1957) poznałem się na studiach. Znaliśmy się więc przeszło 4 lata, a przez ostatnie 2 lata spotykaliśmy się niemal codziennie. Był to więc okres wystarczający do wzajemnego, dobrego poznania się. Wspólnie uczyliśmy się do egzaminów. Jeżeli było kilka dni wolnych, wyjeżdżaliśmy do Wojnicza.

Gądkowie mieli tam parterowy domek z ogrodem, który graniczył z ogrodem parafialnym. Domek ten sprzedali parę lat przed wojną.

W domu rodziców Danusi w Poznaniu odbywały się spotkania kilku kolegów i koleżanek ze studiów. Prowadziliśmy ożywione dyskusje na różne tematy przy „herbatce", oraz tańczyliśmy przy muzyce z patefonu.

Danusia miała jeszcze siostrę Wandę, która studiowała filologię klasyczną. Wanda miała inne towarzystwo. Cały okres poznański zaliczam do najszczęśliwszych mego życia.

Fot. 19, Fot. 20 Danusia

Wojna wszystko zmieniła, ale jednocześnie była okresem próby i odporności naszych charakterów. Powiem nieskromnie, że z tej próby wyszliśmy zwycięsko, chociaż były i potknięcia, o czym świadczą opisane we „Wspomnieniach" wydarzenia i fakty.

Fot. 21. Ja z Danusią i Wandą na zabawie karnawałowej w roku 1935

W czasie studiów w 1933 roku zapisałem się do korporacji *„Sigismundia”*, która nie należała do związku korporacji i była apolityczna. Większość korporacji była endecka. Były także korporacje z określonym kierunkiem zawodowym, np. prawnicza (*„Justicia”*) czy medycyną itp.

Fot. 22. Korporacja "Sigismundia",

Fot. 23. Ja w czapce studenckiej "bratniaka"

Okres poznański był dla mnie najmilszy, a zarazem kształtujący moją osobowość pod każdym względem. Poza studiami bowiem uczęszczałem na dodatkowe wykłady z różnych dziedzin. Między innymi wysłuchałem wykładów światowej sławy socjologa profesora Floriana Znanieckiego, który po pierwszej wojnie wrócił ze Stanów Zjednoczonych do Polski, by brać udział w organizacji polskich uniwersytetów. Niestety tuż przed drugą wojną powrócił do Stanów na zaproszenie prezydenta USA, obejmując funkcję jego doradcy.

Fot. 24. Przed gmachem Opery w Poznaniu ja z Kazią i Zeniem (okres powojenny)

Uczestniczyłem również w organizowanych wówczas w Pałacu Działyńskich tzw. czwartkach literackich, na które jako wykładowców zapraszano najwybitniejsze osobistości z całej Polski.

W okresie międzywojennym Poznań był wielkim ośrodkiem handlu (targi Poznańskie) oraz rozwoju i kultury. Dobre warunki pracy i mieszkania zachęcały wielu ludzi do przyjazdu z Polski centralnej i południowo-wschodniej. Wytworzyła się dość paradoksalna sytuacja społeczno-polityczna. Poznańskie bowiem uchodziło za silny ośrodek endecji (Narodowej Demokracji) co powodowało powstawanie ośrodków przeciwnych, które przeważnie organizowała ludność napływowa. I tak powstawały ośrodki o charakterze socjalistycznym, a nawet ateistycznym.

W życiu naukowym prym wiedli m. in. profesorowie Taylor, Znamierowski, Peretiatkowicz, Jedlicki, Znaniecki i inni.

Poznań był również prężnym ośrodkiem rozwoju kultury, posiadał bowiem dobre teatry, operę i operetkę. Ze względu na to, że studenci korzystali ze znacznej zniżki mogłem sobie wykupić abonamenty do dwóch teatrów (Polskiego i Narodowego), oraz do Opery i Operetki.

Wakacje w Zakopanem i Jastarni

W okresie wakacji wyjeżdżaliśmy co roku, w lecie nad morze (Jastarnia), a w zimie do Zakopanego (przeważnie do pensjonatu M. Zającowej – „Maryśki"), gdzie poznałem wielu ciekawych ludzi. W Jastarni poznałem m. in. dyrektora trzech teatrów warszawskich Bolesława Gorczyńskiego i jego matkę. Poznałem również zapalonego fotografika – emerytowanego sędziego Sądu Najwyższego pana Lorenza. On to nauczył mnie ciekawych ujęć fotograficznych, gdyż zajmował się fotografią artystyczną, coś w rodzaju fotografii impresjonistycznej.

Fot. 25, Fot. 26 Przedwojenne wakacje w Jastarni 1930-31

W Jastarni też miałem ciekawy przypadek. Idąc z plaży przechodziłem obok starszego pana, który minąwszy mnie odwrócił się i spytał: - *„Czy myślał pan o tym, czy przyjechał profesor Czerbak? Tak, przyjechałem i mieszkam w willi „Bałtyk".* Rzeczywiście, myślałem wówczas o tym, a w szczególności o afiszu, który informował, że profesor Czerbak przyjmuje pacjentów ze schorzeniami nerwicowymi i nałogami, lecząc ich hipnozą i telepatią. Miałem do tego stosunek dość sceptyczny, mimo tego, że mój ojciec z pozytywnym skutkiem zajmował się telepatią.

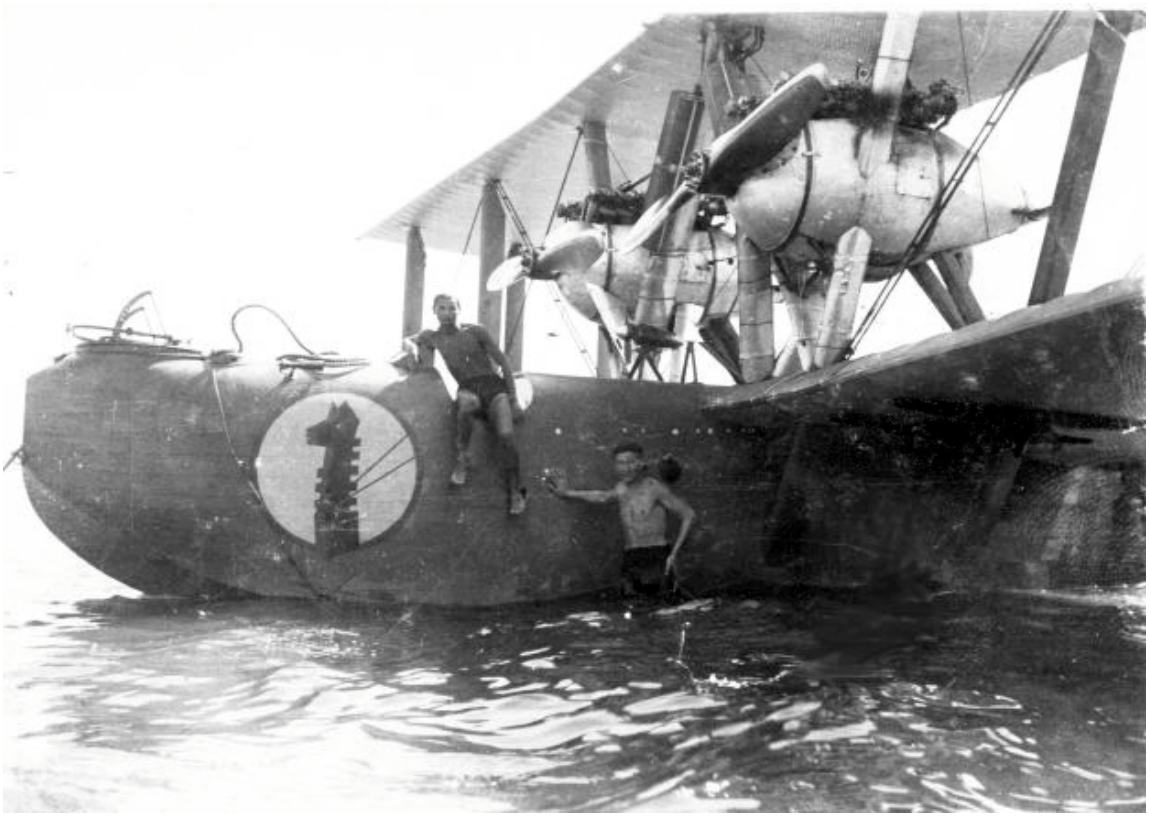

Fot. 27. Ja z Władkiem Jareckim przy wodolocie

Ponadto byłem świadkiem ciekawego seansu, który prowadził inż. Ossowieckii w auli Uniwersytetu Poznańskiego. M. in. potrafił on odczytać treść listu zamkniętego w zaklejonej kopercie, a napisanego przez różnych uczestników seansu. Faktem jednak jest to, że ludzie o nadzwyczajnych właściwościach istnieli i mienili się wizjonerami, a nawet prorokami, wykorzystując te właściwości dla sławy lub korzyści materialnej.

Fot. 28. W Jastarni: z lewej Zeniu, pośrodku Władek Jarecki

Fot. 29. Mój ojciec i ja

Jaga Pehr

W tych latach w Jastarni przebywali również państwo Jareccy z synem Władkiem (moim kolegą) i córką Krysią (później Huczkowską), oraz państwo Pehrowie z córką Jagą, koleżanką Krysi. Pan Pehr był znanym adwokatem i społecznikiem, a w późniejszym okresie, w czasie drugiej wojny dostał się do niewoli sowieckiej, a następnie z Armią Andersa wyjechał do Anglii, gdzie uczestniczył również w polskim rządzie na uchodźctwie.

Będąc w Jastarni udaliśmy się z p. Pehrem do Juraty, gdzie p. Pehr zamierzał wykupić parcelę po stosunkowo korzystnej cenie. Wówczas to bowiem rozpoczęto budowę ekskluzywnego ośrodka wypoczynkowego w Juracie.

Wspomniana wyżej Jaga Pehr w czasie drugiej wojny przeszła chrzest bojowy, ponieważ wraz z matką została wywieziona do Kazachstanu. Natomiast jej ojciec był w innym obozie wojennym (sowieckim). W czasie transportu kobiet z dziećmi trzeba było pewne odcinki drogi pokonywać pieszo. Matka się całkowicie załamała i nie chciała iść dalej, co groziło jej śmiercią. Wówczas to Jaga siłą ją podtrzymując i ciągnąc doprowadziła do końca drogi tj. do osiedla lepianek, gdzie ulokowano kobiety z dziećmi.

Życie tam było bardzo ciężkie, wszyscy musieli wykonywać wyczerpujące prace, do których większość osób nie była przygotowana.

Pod koniec wojny Jaga przedostała się do Włoch, gdzie zaciągnęła się do armii polskiej przyjmując pracę kierowcy. We Włoszech później rozpoczęła studia uniwersyteckie na wydziale chemii i tam też poznała kolegę, przyszłego męża, z którym, po zakończeniu studiów, wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Tam też powierzono jej eksponowane stanowisko kierownicze, na którym dotrwała do emerytury.

a) b) 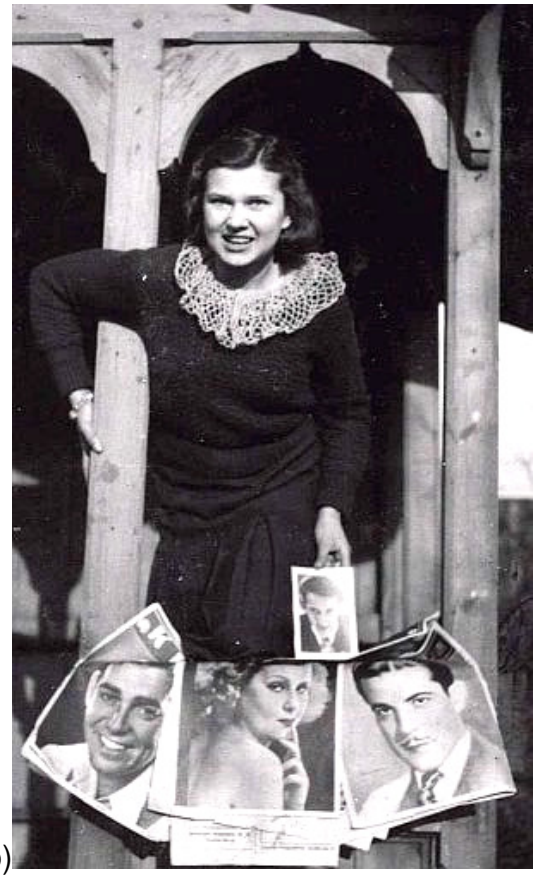

Fot. 30. Jaga Pehr, Fot. 31. Krysia Jarecka

Wspólnie z mężem wybudowali duży dom, a będąc na emeryturze dużo podróżowali po całym świecie, przyjeżdżając także do Polski (mąż był krakowianinem i tu miał siostrę). W czasie jednej z wycieczek do Egiptu umarł nagle na serce.

Po pewnym czasie Jaga wyszła za mąż ponownie za wdowca – właściciela sąsiedniej, dużej posiadłości, bardzo również bogatego i tam mieszkają do dziś.

Zakopane

Drugim moim miejscem do którego – jak wyżej wspomniałem – wyjeżdżałem w lecie i w zimie było Zakopane, a w nim pensjonat „Maryśka". Właściciele „Maryśki" mieli dwóch synów, z których jeden (Lolek) był moim kolegą na studiach. W czasie wojny dostał się do wojska, wyjechał do Anglii, gdzie dosłużył się stopnia kapitana w polskich jednostkach lotniczych. Po zakończeniu wojny eskadra, w której służył wpadła w burzę śnieżną, a samolot którym leciał uległ awarii w czasie której zginął. Drugi brat Marian był znanym narciarzem w Zakopanem, a jego imię nadano jednej z ulic Zakopanego.

Do pensjonatu „Maryśka" przyjeżdżał m. in. Maciej Rataj, Były marszałek sejmu, działacz Stronnictwa Ludowego. Był to okres po zamachu majowym, w którym drugi działacz tego Stronnictwa – Wincenty Witos uciekł do Czechosłowacji, a właścicielka pensjonatu Maria Zającowa pełniła funkcję łącznika między nimi. W te sprawy jej syn Lolek i ja byliśmy wtajemniczeni i w saloniku przysłuchiwaliśmy się niekiedy dyskusjom Rataja z Zającem.

Zając był fanatycznym wręcz działaczem ludowym, natomiast Rataj patrzył na sytuację Stronnictwa racjonalnie, poprzez pryzmat ogólnej sytuacji politycznej w Polsce. Uważał, że Polska znajduje się w bardzo trudnej sytuacji, gdyż dwaj sąsiedzi Rosja i Niemcy zbroją się, a Polski nie stać na wewnętrzne kłótnie i nieporozumienia.

W „Maryśce” poznałem też Lidię Dudek, która w późniejszym okresie wyszła za mąż za pułkownika dyplomowanego Henryka Rejmana, działacza sportowego, jednego z założycieli klubu „Wisła”.

Fot. 32. Wakacje w Zakopanem

Fot. 33. Lidka Dudek (Reyman), i jej siostra Halina w Maryśce w saloniku

Tam też zaprzyjaźniłem się ze Stefanem Mazarakim, stomatologiem, który pracował w klinice profesora Łepkowskiego. Rodzina Mazarakich przybyła z Włoch razem z królową Boną wraz z liczną grupą Włochów, którzy pozostali w Polsce i tu się spolszczyli. Rodzina ta ma w Kościele Mariackim swoją kaplicę, w której podziemiach są pochowani jej członkowie. Stefan miał również dom przy ul. Kazimierza Wielkiego, w którym zatrzymywałem się jadąc do Zakopanego i z powrotem.

W Zakopanem, w willi „Gencjana" miałem okazję poznać dwóch posłów socjalistycznych: Adama Ciołkosza i Czapińskiego, z którymi chodziliśmy w góry i wymieniali swoje poglądy.

Adam Ciołkosz *(ur.5.I.1901 - zm.1.X.1978 w Londynie) – instruktor harcerski, żołnierz, publicysta, jeden z przywódców Polskiej Partii Socjalistycznej w kraju i na emigracji, poseł na Sejm II RP. Walczył o Lwów i Wilno. W walce z bolszewikami w r.1920 dowodził kompanią i batalionem. W bitwie nad Niemnem został ciężko ranny. W r.1921, w czasie Powstania Śląskiego dowodził pociągiem pancernym obsadzonym przez powstańców-górników. Po wojnie 1920 ukończył prawo na UJ i Szkole Nauk Politycznych w Krakowie.* *W 1921 roku wstąpił do PPS.*		

Fot. 34. Adam Ciołkosz

Zakopane uważałem za swój drugi dom. Poza pensjonatem „Maryśka" wyjeżdżałem również do „Hydrobudowy", domu „Pod Skocznią" (ostatni dom po prawej stronie idąc do skoczni, naprzeciw domu Jana Sztaudyngera, kolegi mojego ojca), a ponadto do dwóch domów bankowych. Jeden jest usytuowany niedaleko pomnika Sabały, nad potokiem Bystrym, a drugi, duży pensjonat „Stamara" koło dworca kolejowego. Był on własnością Banku Gospodarstwa Krajowego i bardzo dobrze prowadzony przez panią Pecową. Po wojnie jednak, ktoś bardzo gorliwy i chcący się przypodobać władzom podarował ten dom Radzie Ministrów. Ta z kolei, po pewnym czasie, przekazała go Funduszowi Wczasów Pracowniczych (FWP).

Poznań

Wracając do okresu życia spędzonego w Poznaniu uważam, że był on najważniejszy do ukształtowania mojej osobowości.

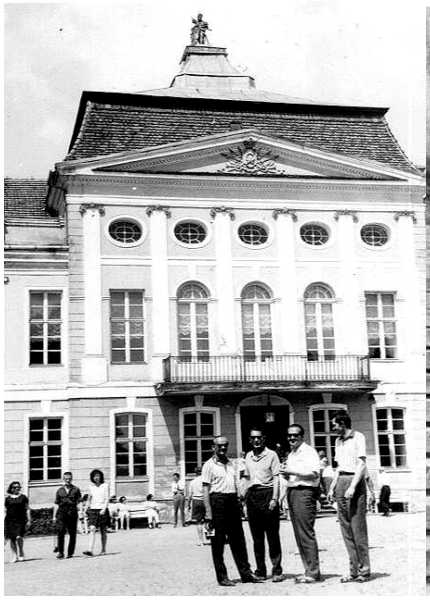

Fot. 35. Pałac Działyńskich,

Fot. 36. Korporanci na schodach Opery Poznańskiej

Tam bowiem skorzystałem z nauk moich mistrzów, a mianowicie profesorów: Peretiatkowicza, Taylora, Wojciechowskiego, Znamierowskiego, Znanieckiego i wielu innych, gościnnie zapraszanych na tzw. „czwartki literackie" do Pałacu Działyńskich.

Peretiatkowicz Antoni *(1884-1956), profesor prawa, specjalista teorii prawa; Pochowany na Cmentarzu Górczyńskim w Poznaniu.*
Wojciechowski Zygmunt *- Prof. dr hab. Ur. 27.IV.1900 r. Zm. 14.X.1955 r. Pochowany na Cmentarzu Sołackim w Poznaniu.*
Edward Taylor *(ur. 28.IX.1884 w Kielcach, zm. 9.VIII.1964 w Poznaniu) - ekonomista polski, przedstawiciel neoklasycystycznej szkoły w ekonomii. Od 1919 był profesorem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; w 1945 należał do grona współzałożycieli Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, a od 1930 był członkiem-korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności (od 1946 członek czynny). Od 1946 był również członkiem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Między 1924 a 1926 zajmował się inflacją w Polsce i opublikował w tym czasie: Inflacja polska (1926) i Druga inflacja polska (1926). Wniósł także znaczny wkład do teorii ekonomii oraz przyczynił się do utworzenia poznańskiego ośrodka myśli ekonomicznej. [http://pl.wikipedia.org/wiki/Edward_Taylor]*
Florian Witold Znaniecki *(ur. 15.I.1882 w Świątnikach, zm. 23.III.1958 w Urbana-Champaign) – polski filozof i socjolog. Twórca polskiej socjologii akademickiej. Jego prace są znane w świecie, szczególnie w USA, gdzie mieszkał i pracował przez wiele lat. [http://pl.wikipedia.org/wiki/Florian_Znaniecki]*
Czesław Znamierowski *(ur. 1888, zm. 1967) - polski filozof, etyk i prawnik, socjolog, profesor Uniwersytetu Poznańskiego, członek szeregu prestiżowych gremiów naukowych (m.in. Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Międzynarodowego Instytutu Filozofii Prawa i Socjologii Prawniczej), tłumacz. Studiował na Uniwersytecie Lipskim (filozofię, matematykę, fizykę), w Petersburgu (filozofię i historię), Berlinie, Monachium i Bazylei. 6 grudnia 1965 Uniwersytet im. Adama Mickiewicza przyznał mu tytuł doktora honoris causa*

Fot. 37. Prof. Florian Znaniecki

Zależało mi bardzo na tym, aby po skończeniu studiów, osiedlić się w Poznaniu. Nie było to łatwe, gdyż o pracę było trudno i był duży procent bezrobotnych z dyplomami. Rozwój gospodarczy bowiem dopiero w latach 30-tych zaczął się rozkręcać (port Gdynia, Centralny Okręg Przemysłowy). Trzeba było więc mieć albo znajomości, albo poparcie polityczne (tzw. „sanacji").

Złożyłem jednak podanie o pracę w centrali Banku Gospodarstwa Krajowego (BGK) w Warszawie, dołączając 3 referencje: prezydenta miasta płk. Więckowskiego, wojewody płk. Maruszewskiego i szefa Żandarmerii Wojskowej płk. Bałabana. Dwie pierwsze referencje dzięki znajomościom mojego ojca, a trzecia dzięki znajomości stryja mojej żony – księdza Władysława Gądka.

Czekając na załatwienie sprawy zacząłem pracować w filii koncernu węglowego „Silesia", której prezes Wachowiak był ojcem kolegi ze studiów. W skład koncernu wchodziło kilkanaście kopalń węgla, kilka hut oraz część dźwigów koncernu „Robór" w Gdyni. Była to bardzo atrakcyjna i dobrze wynagradzana praca, ale wiadomo było również, że dla takich pracowników jak ja niezbyt pewna. Koncern bowiem tworzyli różni udziałowcy z dużym kapitałem (Niemcy, Polacy, Żydzi). Oni to decydowali kogo zatrudnić. Dyrektorem „Silesia" w Poznaniu był wówczas pan Rogalewski, a zastępcą pan Wendland. Musiałem tą pracę traktować jako przejściową czekając na pracę w B.G.K.

W „Silesii" pracowałem do końca stycznia 1939 roku, gdyż już od 1. lutego 1939 rozpocząłem pracę w B.G.K. Dyrektorem Oddziału był dr Golik, a moim bezpośrednim przełożonym był pan Stanisław Prohaska – zapalony lotnik (kapitan rezerwy). W B.G.K pracowałem tylko do 1.09.1939 r. tj. do wybuchu drugiej wojny światowej.

Fot. 38, Fot. 39. Poznań, lata 30-te

Poznań w okresie 20-lecia różnił się bardzo od innych miast Polski centralnej i wschodniej. Przede wszystkim wyróżniał się czystością, sprawną komunikacją miejską, elegancją wystaw sklepowych (układali je specjaliści dekoratorzy), a najważniejsze – świadomością obywateli jak żyć w zbiorowości i osiągać kompromisy. Ta odmienność Poznania uwidoczniła się szczególnie po powrocie ze Lwowa lub Krakowa, gdzie głównie w sklepach żydowskich wszystko chaotycznie było poukładane, jak się mówiło *„szwarc, mydło i powidło”.*

Poznań jednak należał do miast, gdzie ceny były wyższe niż w innych miastach i to zarówno żywności, usług, czynszów itp. Kupiectwo było dobrze zorganizowane, a w sklepach wszędzie były napisy – „ceny stałe” – co wykluczało targowanie się, które zwłaszcza w sklepach żydowskich było normą. Poznaniacy preferowali tradycyjny styl życia i wszystko musiało być wykalkulowane. Mężczyzna chcąc założyć rodzinę musiał mieć pewny zawód, aby mógł utrzymać rodzinę. Kobieta musiała mieć posag (dom, mieszkanie) i umiejętności prowadzenia gospodarki domowej oraz wychowywać dzieci. Źle była widziana praca zawodowa kobiet. Ta nadmierna kalkulacja wzajemnych stosunków różniła poznaniaków od obywateli z innych dzielnic kraju.

Rodzina Danusi

W Poznaniu poznałem na studiach Danutę Gądek – przyszłą moją żonę. Babcia mojej żony, pani Pappius, pochodziła z zubożałej rodziny ziemiańskiej. Miała 3 córki: Anielę, Janinę i Wacławę.

Pierwsza, Aniela (9.III.1890 - 1.X.1955) wyszła za mąż za nauczyciela gimnazjalnego Bronisława Gądka, z którym miała dwie córki: Wandę (1912 - 25.XII.1993) oraz Danusię – moją żonę.

Druga, Janina wyszła za mąż za prokuratora Jana Markowskiego i mieli oni tylko jedną córkę Ewę (ur.1924), późniejszą żonę Andrzeja Szczypiorskiego.

Fot. 40. Pani Pappius z córkami Anielą Gądek, Wacławą Rudzką i Janiną Markowską

Trzecia – Wacława (ur.1897), wyszła za mąż za bogatego ziemianina z piotrkowskiego Jerzego Rudzkiego. Mieli oni córkę Renatę, późniejszą żonę Zdzisława Zwoźniaka, literata, dziennikarza, działacza i kronikarza "Solidarności".

Fot. 41. Wanda Gądek, Ewa Markowska, Renia Rudzka, Danusia Gądek

Rudzki (herbu Prawdzic) miał majątek w Dłużniewicach w powiecie Opoczno, do którego z początkiem wojny przyjechaliśmy.

Fot. 42. Aniela i Bronisław Gądkowie, Fot. 43. Wacława Rudzka z córką Renatą, Fot. 44. Markowscy

II Wojna Światowa

Wojna ta była dla wielu wielką tragedią. To nie frazes, ale rzeczywistość. Stary świat legł w gruzach, a dalszy ciąg był całkowicie nieprzewidywalny.

Fot. 45. Mapka zmian granic w wyniku II Wojny Światowej

Dla niektórych ludzi z wyobraźnią jak np. Witkacego czy też generała W. Długoszowskiego (i szeregu innych) dalsze istnienie nie miało sensu – więc popełnili samobójstwo.

Inni stali przed różnymi alternatywami, ale każda miała jakiś mankament.

Władze polskie podawały, że na zachodzie wojsko będzie walczyć z niemieckim najeźdźcą, to we wschodniej części kraju możliwe będzie zorganizowanie administracji cywilnej i zatrudnienie uchodźców z zachodu. Pozostawała też możliwość zorganizowania sobie życia i liczenia na los szczęścia.

Ja wybrałem propozycję Banku, aby wraz z transportem mienia bankowego (gdzie ulokowano również nasze walizki) udać się do Warszawy po dalsze polecenia. Jak się później okazało, wszystkie propozycje były zawodne.

Jeśli chodzi o nasze sprawy osobiste, ślub cywilny z Danusią wzięliśmy już 29.08.1939 r. Obrączki kupiłem 30.09.39. Ślub kościelny planowaliśmy na połowę września. Ponieważ chcieliśmy być razem w czasie wojny, przyspieszyliśmy ślub kościelny, który wzięliśmy 1. września w godzinach popołudniowych.

A to opis pierwszego dnia wojny z poznańskiej witryny internetowej http://www.tutej.pl/:

Śmierć przyszła z nieba

Grozę II wojny światowej poznaniacy poznali już 1 września 1939 roku za sprawą niemieckich lotniczych bombardowań. Miały one przede wszystkim zastraszyć mieszkańców naszego miasta.

BOMBAMI W OGRÓDKI

Z napięciem wysłuchiwano komunikatów radiowych, z których wynikało, że już od wczesnych godzin rannych trwają walki na granicy. Przerażenie wzbudzała możliwość ataku gazowego. Około 8.30 ogłoszono pierwszy alarm lotniczy. Przyczyną jego ogłoszenia było prawdopodobnie pojawienie się nad miastem niemieckiego samolotu zwiadowczego. Około godziny 10.00 we mgle, zalegającej jeszcze nad lotniskiem na Ławicy, pojawił się nierozpoznany samolot. Artyleria lotniska oddała strzały ostrzegawcze i wystartował do walki jeden z polskich samolotów myśliwskich PZL-11. Myśliwiec nie odnalazł intruza i po dwudziestu minutach wylądował.

Gdy mgła opadła, około godziny 12.00 nad miasto nadleciała grupa niemieckich bombowców. Nad Luboniem nastąpił rozdział atakującej grupy: dwie eskadry skierowały się na lotnisko na Ławicy, dziesięć pozostałych bombowców skierowało się wzdłuż torów kolejowych w kierunku Dworca Głównego. Przelotowi usiłowali przeszkodzić artylerzyści z zakładów Cegielskiego na Wildzie. Zaskoczenie atakiem lotniczym było całkowite. Wszyscy wiedzieli już, że jest wojna, a mimo to alarm ogłoszony został w momencie bombardowania. Jakby mimo wszystko nie dowierzano do końca. Łudzono się wciąż, że jest to jedynie niemiecka prowokacyjna akcja zastraszenia.

Niemcy zbombardowali dzielnicę Łazarz w rejonie Dworca Głównego i Jeżyce w okolicach Ogrodu Zoologicznego. Następnie samoloty odleciały w kierunku wschodnim zrzucając bomby jeszcze na Głównej oraz na ogródki działkowe w Naramowicach. Ludność w panice szukała schronienia w piwnicach domów.

ZNISZCZENIE LOTNISKA

Na lotnisko na Ławicy nadleciało około 20 bombowców w eskorcie myśliwców. Nalot zaskoczył także jednostkę wojskową będącą w trakcie ewakuacji. Głos syreny alarmowej rozległ się jednocześnie z wybuchami padających bomb. Straty były duże, gdyż mimo rozkazu „Kryj się – Niemcy lecą" żołnierze stali zapatrzeni w niebo, bez świadomości tego co nastąpi.

Gdy w trakcie bombardowania samoloty niemieckie zmieniły kurs, skręcając na zachód, wystartowały polskie myśliwce obrony lotniska. Klucz polski szybko wzbił się w górę i zaatakował od tyłu rozciągniętą formację niemiecką, która ponownie nadlatywała na płonące, już

częściowo zniszczone zabudowania lotniska. Szyk formacji nieprzyjacielskiej został rozbity. W trakcie walki powietrznej do akcji przystąpiła artyleria przeciwlotnicza, która ostrzelała atakujące bombowce. Następnie bombowce niemieckie w luźnym już szyku oddaliły się w kierunku północno-zachodnim, ścigane nadal przez polskie samoloty. Polskie myśliwce stoczyły brawurową walkę powietrzną.
Odlatujące samoloty niemieckie zrzuciły jeszcze bomby przed stacją kolejową w Kiekrzu. Po pewnym czasie myśliwce z osłony lotniska powróciły na Ławicę i po uzupełnieniu amunicji i paliwa natychmiast odleciały na lotnisko polowe. O tym, że świadomość nie dopuszczała do siebie faktu, że jest wojna świadczy to, że rano 1 września samoloty pasażerskie kursowały normalnie z Poznania do Warszawy. Po upływie 20 minut od pierwszego nalotu lotnisko na Ławicy zostało powtórnie zaatakowane. Trzeci nalot nastąpił około godziny 15.00. Lotnisko wojskowe zostało całkowicie zniszczone.

TRZECI NAJCIĘŻSZY
Jeszcze zanim zdążyło minąć wśród poznaniaków przerażenie pierwszym nalotem, już 20 minut później rozległ się ryk syren. Niemieckie bombowce zaatakowały mosty na Warcie, węzeł kolejowy, rejon koszar na Jeżycach, linię fortów na wschodnim skraju miasta oraz powtórnie lotnisko na Ławicy. Zniszczone zostały domy przy ulicach Kórnickiej i Wenecjańskiej. Przy Drodze Dębińskiej wybuch bomby uszkodził przewód wodociągu zasilającego miasto. Mosty na Warcie nie uległy zniszczeniu. W rejonie kościoła Bożego Ciała bomby uszkodziły jezdnię ulicy. Pod gruzami domu przy Rybakach 15 śmierć poniosło sześć osób. W rejonie dworca kolejowego bombardowanie pociągnęło za sobą straty w ludności oczekującej pociągów ewakuacyjnych. Na peronach wybuchła panika. Na Jeżycach wiele kamienic uległo uszkodzeniu. W rejon dworca ciągnęły tłumy ludzi, usiłujących opuścić miasto.
Około godziny 18.00 miał miejsce trzeci najcięższy nalot pierwszego dnia wojny. Nad Poznań nadleciało prawie 100 bombowców. Nalot ten pochłonął około 80 ofiar. Wiele osób zostało rannych. Świadek tamtych wydarzeń, mieszkaniec dzielnicy Łazarz, Zygmunt Drażewski we wspomnieniach tak pisze: „O godz. 18.00 trzeci nalot, najcięższy. Słychać dudnienie bombowców. Przez radio ryczą syreny. Zapowiadają nalot. Znów zbiegamy do domowego schronu w piwnicy. Jest tam już dużo ludzi. Słychać eksplozję. Pierwsze bomby i znów pierwsza, druga, trzecia – cale serie. Słuchamy z zapartym oddechem. Nagle – trzask, huk i łomot tak straszny, że głowa chce pęknąć. Kurz i brzęk tłuczonych szyb. Wszystko zdaje się walić na głowę. Ta bomba musiała trafić nasz budynek. Zostaliśmy odrzuceni przez siłę wybuchu pod ściany. Wszyscy krzyczą: Gaz!!! – i biegną na wyższe piętra. Wszędzie pełno dymu i pyłu, który mylnie uważaliśmy za gaz. W mieszkaniu obraz grozy i rozpaczy. Pełno szkła, firanki w strzępach wiszą żałośnie, drzwi i okna żaluzjami wyrwane – słowem obraz zniszczenia. Jakaś kobieta głośno się modli. Przez okienne otwory widać ponury widok płonących domów. Tymczasem nalot minął, lecz nikt nie chce zostać w mieszkaniu”.
Drażewski udaje się do schronu przy ulicy Śniadeckich. „Przenosimy się do schronu publicznego gdzie jest pełno ludzi. Był on przeznaczony na 500 osób, tymczasem jest w nim 2000. Jednak razem zawsze lepiej. Rozglądam się wokoło… Spoglądam na ludzi. Bladzi o wystraszonych oczach, nic nie mówią. Do ogólnego przygnębienia przyczyniają się coraz to nowe transporty rannych. Wnosi ich na noszach służba sanitarna. Głośno jęczą. Ludzie milczą. Słychać przytłumione eksplozje. Każdy myśli czy jego dach nie uległ zniszczeniu. Czasem rozświetli niebo łuna palącego się domu. Tak upływa pierwsza noc”.

Wyjazd z Poznania

Zaraz po ślubie zostałem wezwany do banku, aby wziąć udział w pakowaniu mienia bankowego (skrzynie z pieniędzmi, maszyny, akta itp.). Drugiego września w godzinach rannych planowany był wyjazd do Warszawy. Wyjeżdżając zabraliśmy tylko ze sobą, w podręcznych walizkach, rzeczy osobistego użytku i pieniądze. Bank bowiem wypłacił każdemu pracownikowi 6-cio miesięczne pobory (banknoty, monety srebrne oraz parę monet złotych). Pieniądze – jak się później okazało – uratowały nam życie.

Tak więc noc poślubną spędziliśmy w Banku.

Rano udaliśmy się na dworzec, gdzie na bocznym torze stał pociąg towarowy, do którego dołączono 2 zamknięte wagony z mieniem bankowym. W wagonach nie było żadnych ławek, tak że uciekinierzy siedzieli na własnych walizkach. W wagonie spotkaliśmy też profesora Sułkowskiego – jednego z twórców europejskiego prawa handlowego.

Teraz opiszę skrótowo naszą podróż na podstawie notatek Danusi zapisanych w jej kalendarzyku. I tak:

2.09.39 o godz. 11-tej wyjechaliśmy z Poznania. Pociąg nasz, na skutek bombardowania torów, musiał się zatrzymać w Słupcy, a my uciekliśmy w pole. Po nalocie wróciliśmy na stację, ale ponieważ nie było wiadomo kiedy pociąg pojedzie dalej, postanowiliśmy z dwoma spotkanymi kolegami (Szałacki i Wisłocki) wynająć taksówkę i pojechać do Warszawy. Jak się okazało w Warszawie, pozostawiony pociąg pod Kutnem został całkowicie zbombardowany łącznie z mieniem bankowym i naszymi walizkami. Pozostałe resztki zostały rozkradzione przez okoliczną ludność.

Zostaliśmy więc tylko z dwiema małymi, podręcznymi walizeczkami i pieniędzmi.

Nasza podróż taksówką odbywała się w bardzo trudnych warunkach, po stosunkowo wąskiej drodze, przy zgaszonych światłach oraz bardzo dużym, dwustronnym ruchu. Transporty wojskowe jechały na zachód – uciekinierzy na wschód. Ale jakoś szczęśliwie dojechaliśmy, widząc po drodze jak paliła się zbombardowana stacja radiowa w Raszynie.

Zatrzymaliśmy się w hotelu „Paryskim", a na obiedzie byliśmy w barze „Pod Setką". Byliśmy świadkami wielkiej manifestacji na wiadomość o przystąpieniu do wojny Anglii i Francji (3.09.39). Niestety, radość ta była przedwczesna, gdyż oba te państwa nie były do wojny przygotowane, co dla Niemców było wiadome. Był to zatem gest formalny.

Wieczorem o 11-tej wyjechaliśmy pociągiem z Warszawy i dojechaliśmy do Rudy Talubskiej pod Dęblinem. Tu szereg godzin postoju. Przed południem zrezygnowaliśmy więc z jazdy pociągiem i wraz z Sałackim, Wisłockim i dr. Szumskim pojechaliśmy furką do Garwolina, skąd o 16^{30} po południu wyjechaliśmy autem do Lublina. Przyjechaliśmy tuż po nalocie. W mieście panowała panika. Mimo tego w restauracji na Krakowskim Przedmieściu zjedliśmy dobrą kolację (kaczka). W nocy pojechaliśmy autem do Rejowca. Tutaj Szałacki pożegnał się z nami i odjechał do swojej jednostki wojskowej, a my tylko z Wisłockim pojechaliśmy autem do wsi i tu nocujemy u starego Żyda Lejbusia, który całą noc się modlił. Rano Lejbuś powiedział, że cała jego rodzina uciekła, a on pozostał, gdyż w pismach świętych wyczytał, że Żydom grozi zagłada, a przed nią nie ma ucieczki.

Dalej na wschód

Rano na drugi dzień pojechaliśmy autobusem do Krasnego Stawu, a o 2-giej popołudniu pociągiem do Lwowa. W drodze do Lwowa był długi postój w Rawie Ruskiej. We Lwowie zatrzymaliśmy się w hotelu „Savoy" przy ul. Sobieskiego. Byliśmy tam 2 dni. Były ciągłe naloty. Dalsze 2 dni zatrzymaliśmy się u dalekich krewnych mojej mamy – u Jurków Skurskich przy ul. Janowskiej 31.

We Lwowie w B.G.K. okazało się, że żadnych planów odnośnie zatrudnienia uciekinierów nie ma i każdy musi działać na własną rękę.

Przypominam sobie, że wówczas we Lwowie spotkaliśmy dyrektora Golika, który jechał służbowym samochodem z Poznania. Zaproponował nam, że ma dwa wolne miejsca i możemy się z nim zabrać. Jedzie do Palestyny przez Rumunię

i Turcję. Danusia jednak nie chciała opuszczać Polski zostawiać całej rodziny – dlatego odmówiliśmy.

Obecnie nie mam pewności czy dobrze zrobiliśmy zostając w Polsce.

Fot. 46. Hela Skórska

Fot. 47. Skórscy

Uszkodzony dworzec kolejowy we Lwowie w 1941 r.

Fot. 48. Lwów

W dniu 10.09.39 r. w niedzielę zbombardowano piękny lwowski dworzec ko-

lejowy. Cały dzień więc szukaliśmy okazji do wyjazdu.

Wkroczenie Armii Czerwonej do Lwowa 22.IX.1939 r.

Fot. 49. Czołgi radzieckie we Lwowie,

Fot. 50. Antypolski plakat

[http://www.lwow.com.pl/hryciuk/hryciuk.html
-Grzegorz Hryciuk - "Polacy we Lwowie 1939-1944. Życie codzienne"]

Wieczorem o 19-tej pojechaliśmy autem (za 60 zł !!) do Mikołajowa (¼ drogi do Stanisławowa), gdzie przesiedzieliśmy w ukraińskiej chacie, a rano pojechaliśmy furką do Chodorowa. W połowie drogi do Żydaczowa naloty. Niemcy bowiem robili polowania strzelając z samolotów do ludzi na ziemi. Musieliśmy więc uciec pod mur cerkiewki i całe szczęście, że położyliśmy się na ziemi, gdyż nad nami posypał się tynk od serii wystrzałów. Następny ostrzał był w Chodorowie, gdzie straszną panikę robili Żydzi, tak, że musiałem zareagować krzycząc: - *„Żydzi! Uspokójcie się do jasnej cholery!”*

We wtorek 12.09.39 rano poszliśmy pieszo do wsi Wierzbica i tam nocowaliśmy. Tam też czekaliśmy na furmankę. W tym dniu zjedliśmy tylko jedną bułkę i wypiliśmy gorzką herbatę. Na wsiach wszędzie było pełno much i brud i niczego nie można było kupić.

Z Wierzbicy pojechaliśmy furką do Hrychorowa, a stamtąd znów furką do Tenetnik, gdzie bardzo miła nauczycielka-Polka nas przyjęła i ugościła. Z Tenetnik znów następną furką pojechaliśmy do Bursztyna. W drodze furka się wywróciła i trochę potłukliśmy się. Dalszą drogę do Ludwikówka odbyliśmy pieszo.

Niemcy już byli pod Kałuszem.

Z Ludwikówka znów furką pojechaliśmy do Łopusznej, a stamtąd poszliśmy do wsi ukraińskiej Zeleniów, ślicznie położonej wśród lasów i gór. Był to czwartek 14.09.39 r. Udaliśmy się do szkoły, gdzie zastaliśmy młodą nauczycielkę – Polkę. Nauczycielka ta również czekała na okazję by stamtąd wyjechać. Zdołała ona sobie zjednać niektórych miejscowych Ukraińców.

W tym czasie były to ostatnie dni możliwości ucieczki do Rumunii.

Jednocześnie bardzo wzmogły się napady na nieliczne domy zamieszkujących tam Polaków i Niemców. Nacjonaliści ukraińscy robili barykady na drogach, aby zmusić jadące samochody do zatrzymania się, ograbienia, a jadących zabijano.

Goszcząca nas nauczycielka obawiając się, że tej nocy nacjonaliści wtargną do Zieleniowa, postanowiła umieścić nas na nocleg u zaufanego Ukraińca. Nie była pewna czy Ukrainiec ten się zgodzi, ale się zgodził. Przez okienko w jego izbie obserwowaliśmy pożary w domach okolicznych Polaków i napady na przejeżdżające samochody. W izbie był nieduży schowek, w którym, skuleni, przesiedzieliśmy do

rana. Gdy gospodarz – Ukrainiec zawiadomił nas, że do wsi już wkroczyli Rosjanie wyszliśmy ze schowka, a ja wyszedłem przed dom, Zobaczyłem grupę Kozaków na koniach. Wówczas to w pierwszej chwili ucieszyłem się – gdyż uważałem ich za wybawicieli i nawet wskazałem kierunek ucieczki nacjonalistów ukraińskich, ponieważ o to pytali. Potem jednak przyszła refleksja, która postawiła pod znakiem zapytania sens naszej ucieczki na wschód – skoro całą Polskę zajęli okupanci, to czy nie wpadliśmy z deszczu pod rynnę?

I wówczas zrodziła się myśl powrotu do Dłużniewic lub Wojnicza. Myśl o powrocie była coraz silniejsza, widząc co się dzieje w tym „raju bolszewickim".

Równocześnie zobaczyłem jak wyglądają wschodnie tereny Rzeczpospolitej. Polacy, poza dużymi miastami (Lwów, Stryj, Stanisławów) byli w zdecydowanej mniejszości, większość bowiem to byli Ukraińcy („rusini") oraz Żydzi. Wsie były całkowicie zacofane, zdarzały się kurne chaty, gdzie dym z paleniska wychodził nie przez komin, a ścielił się po zadymionej izbie i wychodził przez otwarte drzwi. Cała rodzina, po wygaśnięciu ognia spała na tzw. „przypiecku". W izbie było tylko jedno łóżko, na którym składano całą pościel z przypiecka na czas palenia w piecu tj. na dzień. Raz nieopatrznie usiedliśmy na brzegu łóżka – po pewnym czasie zauważyliśmy, że oblazły nas wszy. Wszędzie był brud i chmary much, a w lecie dzieci, zwłaszcza małe, ganiały goło. Pewna Ukrainka chcąc nas uraczyć zsiadłym mlekiem przyniosła kamienny garnek z tym mlekiem, którego powierzchnia pokryta była warstwą utopionych much. Zdmuchnęła te muchy i nalała nam mleko do garnuszków.

Po tej pełnej emocji i strachu nocy w ukraińskim domu choroba Danusi wzmogła się (angina) i dostała gorączkę ponad 39ºC. I tak chorowała do końca września – bez lekarza i bez leków. Dobrze chociaż, że nauczycielka miała parę aspiryn. Spaliśmy tam w jedynej izbie szkolnej – przesunęliśmy ławki i położyliśmy dwa sienniki wypchane słomą. Mieliśmy tam bardzo duże trudności z kupnem żywności. „Obiady" Danusia robiła razem z nauczycielką.

Powrót ze wschodu

Gdy Danusia wyzdrowiała poszliśmy do najbliższej stacji kolejowej, gdzie poinformowano nas, że żadne pociągi osobowe nie jeżdżą i nie wiadomo kiedy będą. Spotkany kolejarz poradził nam żebyśmy czekali na pociąg towarowy. Jak zatrzyma się, aby maszynista nabrał wody, to on zagada maszynistę, aby odwrócić jego uwagę, a my chyłkiem i szybko mamy wejść do wagonu, który posiada budkę hamulcową i tam schować się do odjazdu pociągu. Tak też zrobiliśmy i w ten sposób w dniu 1.10.39 dojechaliśmy do Stanisławowa (nazwanego potem Iwano-Frankowsk).

W Stanisławowie staraliśmy się nakłonić stryja żony księdza Gądka do wyjazdu z nami – stryj był w dużej rozterce.

Ale sytuacja pod każdym względem pogarszała się.

Jedyną pociechą i nadzieją była myśl, że te dwa państwa stoczą ze sobą bój o panowanie nad Europą. Ale obecna rzeczywistość dla Polaków była bardzo niepomyślna. Zastanawialiśmy się, która okupacja była gorsza. Niemcy stawiali sprawę jasno – Hitler w Gdańsku powiedział: *„Polacy muszą zrozumieć, że Niemcy są narodem panów, a Polacy mogą być tylko parobkami Niemców".*

Natomiast polityka Rosji wobec Polski była bardziej formalnie zakamuflowana i perfidna. Chcieli dać do zrozumienia, że są wyzwolicielami dla narodu przed jarzmem kapitalistycznym. Mówiono, że ci co pomogą budować nowy ustrój mogą liczyć na wsparcie, a wrogowie komunizmu będą zniszczeni. Perfidia polegała też na tym, że unikano słowa „komunizm" chociaż było ono powszechnie używane, a posługiwa-

no się słowem „socjalizm” – chociaż wiadomo było, że zwalczano socjalistów przedwojennych (Ciołkosz) i zachodnich.

Hitler i Stalin zgadzali się w jednym – ich głównym celem było zniszczenie polskich elit, a więc inteligencji. Mówiono, że z motłochem dadzą sobie radę. Trzeba przyznać, że w znacznym stopniu cel osiągnęli.

Fot. 51. Stanisławów - Ratusz

Fot. 52. Stanisławów - ul. Pierackiego

Pobyt w Stanisławowie należał do najgorszych w moim życiu.

Beznadzieja, niepewność jutra i kłopoty ze zdobyciem żywności. Przezorni ludzie porobili zapasy, ale stryj żony do przezornych nie należał. Przed wojną wolne dni spędzał poza Stanisławowem, a urlopy przeważnie na wycieczkach zagranicznych „Batorym”. W Stanisławowie, jak zresztą wszędzie, obowiązywała „godzina policyjna”.

Aby zdobyć jeden bochenek ciemnego chleba trzeba było zaraz po głosie syreny biegiem udać się do jedynej czynnej piekarni usytuowanej na przedmieściu.

Stryjem żony opiekowała się wdowa z synem i to ona zdobywała wyżywienie i gotowała obiady. Sklepy, chociaż zupełnie puste, musiały być otwarte przez cały dzień, bo taki był „prikaz”. W drzwiach stał oparty o framugę drzwi Żyd i na pytanie – *„Co pan ma?”* odpowiadał – *„Nic nie ma i niczego nie będzie!”.*

Wiedziałem, że dalszy pobyt w Stanisławowie nie ma sensu, ale żadnych przepustek na wyjazd władze nie wydawały.

22.10.39 r. ogłoszono wybory dla obywateli zawłaszczonych ziem – nazywając je wyborami do władz „Zachodniej Ukrainy” – oczywiście pod władzą Sowietów. Dla Stanisławowa wyznaczono jednego, nikomu oczywiście nieznanego, kandydata (a właściwie – nominata) z Kijowa. Obowiązek udziału w „wyborach” mieli wszyscy ludzie, którzy w tym dniu znajdowali się w Stanisławowie, a więc również chwilowo zameldowani uciekinierzy. A meldowanie się było obowiązkowe – pod karą śmierci. Nieobecność w wyborach nie była tolerowana. Jeśli kogoś nie było do godziny 16-tej, to wówczas przychodziło do domu dwóch NKWudzistów i konwojowany, pod ich opieką, musiał wrzucić kartę wyborczą. Dalsze postępowanie z opornym wyborcą

było niewiadome. Wiadomo natomiast było, że są aresztowania znamienitszych obywateli.

Tak się złożyło, że głosowanie odbywało się w gimnazjum, w którym stryj był katechetą. Mogliśmy zobaczyć jak nowe władze traktują inteligencję. Za stołem tzw. prezydialnym siedzieli woźni i sprzątaczki, a nauczyciele pełnili funkcje odźwiernych i „chłopców na posyłki".

Wybory te były dla mnie dodatkowym sygnałem, że jest najwyższy czas, by stąd wyjechać. Postawiłem stryjowi ultimatum, że w określony dzień wyjeżdżamy ze stryjem, albo sami. Dłuższy pobyt groził naszemu bezpieczeństwu. Zamierzałem podjąć starania o przepustkę w Przemyślu tj. na granicy.

Tak więc 4.11.39 wraz ze stryjem wyjechaliśmy ze Stanisławowa pociągiem towarowym. W południe byliśmy we Lwowie. Piękny lwowski dworzec, ze wspaniałą szklaną halą był już częściowo zniszczony, a proces dewastacji nadal się nasilał. Obchodzono właśnie rocznicę Rewolucji Październikowej – grupy pijanego żołdactwa chodziły po peronach i strzelały do wszystkiego „na wiwat". Resztki szyb spadały na ludzi oczekujących na pociąg do Przemyśla. Nikt oczywiście nie wiedział, czy i kiedy jakiś pociąg pojedzie.

Wreszcie, koło godziny trzeciej podstawiono parę wagonów i wówczas zaczęła się piekielna walka o miejsca. Wsiadano przez okna do wagonów, a także siadano na dachach, buforach i platformach. Nam udało się cudem dostać na platformę, gdzie wprawdzie zacinał deszcz i wiało, ale byliśmy szczęśliwi, że jedziemy.

Po kilku godzinach jazdy przyjechaliśmy do Przemyśla.

I tu – jak pisze Danusia w swoich notatkach – było prawdziwe piekło na ziemi. W tym czasie – w co trudno uwierzyć – w Przemyślu było parę milionów ludzi oczekujących na otwarcie granicy. Bowiem obaj „sprzymierzeńcy" nie mogli uzgodnić terminu i czasu otwarcia granicy.

Fot. 53. Most graniczny w Przemyślu [http://www.kki.com.pl/pioinf/przemysl/dzieje/koniec/koniec.html]

Do Przemyśla przyjechaliśmy niedługo przed godziną policyjną i musieliśmy szybko szukać jakiegoś miejsca, by przeczekać do rana. Bowiem po godzinie policyjnej nie wolno było przebywać na ulicy – patrole konne strzelały do każdego napotkanego przechodnia.

Dlatego od razu próbowaliśmy dostać się do którejś kamienicy, ale wszystkie klatki schodowe były już zajęte, a drzwi zablokowane i nie można ich było otworzyć. W klatkach było ogromne przepełnienie, bowiem ludzie siedzieli na schodach od dołu

do góry. Po kilku nieudanych próbach byłem już bardzo zrozpaczony i nie wiedziałem co robić. A czas uciekał. Wówczas nadszedł jakiś kolejarz, którego zapytałem, gdzie można przesiedzieć do rana. On odpowiedział: - *„Musi pan, i to bardzo szybko, pójść (tu wskazał kierunek) do gmachu opuszczonego przed remontem sądu”*. A więc biegiem udaliśmy się w tym kierunku i ledwo, parę minut przed godziną policyjną, dostaliśmy się do tego gmachu. I tam na walizkach przesiedzieliśmy do samego rana.

Rano, jak tylko syrena ogłosiła koniec godziny policyjnej, sam pobiegłem do N.K.W.D. po przepustkę uprawniającą do przekroczenia granicy. Wówczas zobaczyłem gigantyczną kolejkę ustawioną czwórkami – nadzorowaną przez porządkowych w opaskach na rękach. Pomyślałem, że nie mam żadnych szans na otrzymanie przepustki, gdyż okres ich wydawania był krótki, a ludzi odsyłano na następny dzień.

Tego co działo się w kolejce nie widziałem nawet w żadnym filmie wojennym. Tu umierał starzec, tam rodziła kobieta, gdzie indziej ktoś w szoku klęczy i płacze.
A więc rozpacz i makabra. Stałem więc, patrzyłem na wszystko i rozmawiałem z ludźmi. W ten sposób dowiedziałem się, że niektórzy Żydzi nawiązali kontakty z Sowietami.

Dlatego podszedłem do kręcącego się opodal Żyda z zapytaniem, czy nie wie jak zdobyć przepustkę. Odpowiedział mi, że wie, ale to dużo kosztuje. Odpowiedziałem mu, że zapłacę srebrnymi monetami. Kazał mi czekać do 1½ godziny. Zabrał nasze dane personalne i odszedł. Czekałem, denerwując się czy wróci. Przyszedł i przyniósł mi 3 przepustki. Były to niewielkie kartki z nazwiskami i stwierdzeniem, że jesteśmy uchodźcami. Na kartkach były duże pieczęcie z młotem i sierpem i nieczytelne podpisy. Była to więc tzw. *„dowidka dla bieżeńców”.*

Uradowany poszedłem do swoich i razem poszliśmy do przejścia granicznego, które przebiegało przez most kolejowy na Sanie. Most drogowy bowiem został zbombardowany.

I tu okazało się, że jest dalszy ciąg piekła. Było tak wielu posiadaczy przepustek, że utworzono długą kolejkę stojących czwórkami ludzi. Przez przejście jednak przepuszczano tylko część ludzi, a resztę odprawiano na dzień następny, krzycząc przy tym – *„dawaj nazad”* i odpychając karabinami. W tej sytuacji nie widziałem możliwości przejścia w dniu dzisiejszym, a perspektywa spędzenia jeszcze jednej nocy w gmachu sądu bez jedzenia i picia była straszna. Myślałem więc, co dalej robić. Obok mostu kolejowego była zajezdnia dla lokomotyw. Poszedłem do kierownika tej lokomotywowni, który mógł stale obserwować co się dzieje na przejściu. Zapytałem go – co mam robić. Oświadczył, że może mi coś doradzić, ale za poradę chce coś dostać. Zgodziłem się. Kolejarz wprowadził nas do lokomotywowni i kazał schować się za bramą i powiedział:
- „Teraz nie może się pan nawet zbliżyć do kolejki, bo porządkowi was nie wpuszczą, a stojący w kolejce, gdyby pan usiłował się wepchnąć, nawet zabiją. Bo tu jest gra o życie. Jest tylko taki sposób: jak tylko otworzą granicę i zaczną przepuszczać ludzi, to wówczas cały tłum z przepustkami w zębach zajmie się dziećmi, bagażami i sobą, szybko biegnąc do przejścia. W tej gorączce i pośpiechu musicie szybko dołączyć do innych i razem posuwać się naprzód”.

Tak też zrobiliśmy.

Przejście przez most kolejowy było bardzo utrudnione, gdyż most był ażurowy i woda przeświytywała przez metalową konstrukcję. Łatwo było się potknąć. W połowie mostu stali gestapowcy z psami i kilkoma żołnierzami i pomagali obciążonym bagażami i ludziom z dziećmi. Widząc stryja z dwoma ciężkimi walizkami (pełnymi albumów ze zdjęciami z zagranicznych podróży) jeden z żołnierzy podbiegł, aby mu pomóc. I tak dotarliśmy do końca mostu. Na brzegu stały już wojskowe kuchnie po-

lowe z grochówką. Kilku Ślązaków, łamaną polszczyzną krzyczało: - *„Witamy powracających z raju! Macie tu grochówkę, bo pewnie niczego nie jedliście. Zaraz podstawiamy tu pociąg, który powiezie was do stacji Kraków”.*

Do Wojnicza i Poznania

My wysiedliśmy w Bogumiłowicach, gdyż było to najbliżej Wojnicza.

W Bogumiłowicach przenocowaliśmy u gospodarza, który z widzenia znał księdza Gądka. Rano, po śniadaniu (mleko z makaronem i wiejski chleb z masłem – Och! jak mi smakowało!) odwieziono nas furmanką do Wojnicza. Było to 7.11.39 r.

Tutaj dowiedzieliśmy się, że rodziców Danusi z Wandą, wraz z liczną grupą poznańskiej inteligencji, Niemcy wywieźli do pustych baraków pod Poznaniem. Były to hale pofabryczne z cementową posadzką, lekko posypane słomą. Wielu z wywiezionych nie wytrzymywało tych warunków, gdyż była to zimna jesień, a hale były nieopalone.

Danusia rozpaczała, że oni tam nie przetrwają, wobec czego musimy wyjechać do Poznania, aby tam szukać możliwości ich wydostania i przewieźć do Dłużniewic. Widząc rozpacz Danusi poczułem się w obowiązku, aby coś zrobić. Podjąłem więc decyzję emocjonalną, a nie racjonalną (widocznie moje szare komórki odpoczywały). Była to najgłupsza i najniebezpieczniejsza decyzja w moim życiu. Zgodziłem się pojechać z Danusią do Poznania. Były dwie poważne przeszkody: - pierwsza – iż do Poznania (czyli Rzeszy) wyjeżdżać mogli tylko Niemcy i – druga - jak wrócić? Nie dawano bowiem dla młodych Polaków pozwoleń na wyjazdy, gdyż wysyłano ich do Rzeszy, do pracy u bauerów lub do zakładów zbrojeniowych, które narażone były na ciągłe naloty naszych aliantów, czego nie brałem wówczas pod uwagę.

Dowiedziałem się w końcu, że można dostać zezwolenia, jeśli zgłoszę się dobrowolnie na wyjazd na roboty (w głąb Rzeszy). Pojechałem więc do *Arbeitsamtu*, do Tarnowa i poprosiłem o pozwolenie na wyjazd do robót. Popatrzono na mnie jak na wariata i dano mi takie zezwolenie na wyjazd do Poznania.

Pojechaliśmy pociągiem do Lublińca, a tam była przesiadka do Poznania. W Lublińcu byliśmy świadkami szukania Żydów przez Niemców. Znaleziono ich kilku, wyprowadzono przed dworzec i tam ich rozstrzelano.

Po przyjeździe do Poznania i radosnym powitaniu (moi rodzice bowiem myśleli, że my nie żyjemy), równocześnie bardzo się zmartwili, gdyż wiedzieli ilu młodych Polaków chcących wyjechać do Generalnej Guberni nie puszczono, ale wysyłano na roboty do Niemiec.

Danusia od razu zabrała się do rozeznania możliwości uwolnienia rodziców – niestety bez efektów.

Ja poszedłem do znajomej pani Litwiakowej (która miała obywatelstwo rosyjskie) na ul. Słowackiego, aby poradzić się jej jak wydostać się z tej matni.

Nic konkretnego jednak nie ustaliliśmy.

Przypomniałem sobie wówczas, że mam wydaną po sowieckiej stronie tzw. *„dowidkę dla bieżeńców*”. Przyjąłem więc bardzo ryzykowną koncepcję, że Niemcy mogą nie znać języka rosyjskiego i mogą uznać *dowidki* jako dowody obywatelstwa rosyjskiego.

Była to z mej strony próba oszukania Gestapo, co groziło śmiercią.

Poszedłem jednak do *Polizei Prezidium* (ul. Fredry), gdzie wydawano pozwolenia na wyjazd. Atmosfera w budynku była bardzo nieprzyjemna, gdyż gestapowcy chodzili z psami. Udałem się na I piętro do pokoju, w którym siedziało trzech mężczyzn do załatwiania interesantów. Podszedłem do pierwszego z brzegu, aby swoją słabą niemczyzną powiedzieć o co mi chodzi, tj. że jestem obywatelem rosyjskim
i proszę o zezwolenie na wyjazd. Zapytany zwrócił się do kolegi z zapytaniem, czy zna język rosyjski – ten odpowiedział negatywnie. Wówczas ten pierwszy zwrócił się do trzeciego z tym samym zapytaniem. Nogi pode mną tak osłabły, że musiałem się trzymać stołu. Ale na szczęście zapytany również odpowiedział negatywnie i w dodatku skrytykował pytającego mówiąc, że niepotrzebnie pyta się, bo powinien jak najszybciej pozbyć się niepożądanego Rosjanina.
Było to najgorsze wydarzenie w moim życiu.

Fot. 54. Poznań - Polizei Prezidium

Dłużniewice

Jeszcze tego samego dnia wyjechaliśmy z Poznania. Zabrałem również różne rzeczy z ubrania, które musiały mi wystarczyć do końca wojny.

W sumie cały pobyt w Poznaniu trwał bardzo krótko, gdyż 13. listopada rano przyjechaliśmy, a 14. listopada popołudniu wyjechaliśmy. W nocy z 14-tego na 15-tego przenocowaliśmy u koleżanki Danusi w Tomaszowie, 15-tego byliśmy w Łodzi i Opocznie, a 17-tego już w Dłużniewicach.

O wszystkim opowiedzieliśmy cioci Waci, a ona postanowiła pojechać sama do Poznania. Ciocia Wacia znała doskonale język niemiecki, gdyż studiowała we Wiedniu. Miała też bardzo dobre układy z Niemcem, który nadzorował majątki ziemskie tego okręgu. Pomógł on cioci Waci dostać zezwolenie na kilkudniowy wyjazd do Poznania. Po czym ciocia Wacia 23-go listopada pojechała.

Po przyjeździe do Poznania poszła do kierownika obozu, aby prosić go o zwolnienie jej rodziny, którą weźmie do Generalnej Guberni na swoje utrzymanie. Niemiec zgodził się. Wówczas ciocia powiedziała: - *„Niech pana Pan Bóg wynagrodzi”*, a ten ją spytał: - „ *A jest Pan Bóg?”.* Ciocia odpowiedziała: - *„Macie przecież napis na metalowych klamrach u pasów: „Gott mit uns”.* Odpowiedział: - *„A to tylko polityka, czysta polityka”.*

Po powrocie cioci Danusia zapisała w swoim kalendarzyku pod datą 30.11.39: *„Wacia z Mamusią i Tatusiem, przyjechali do Dłużniewic. Mój szczęśliwy dzień”.*

23.11.39 mój brat Zenon przyjechał do Dłużniewic. W Poznaniu została więc tylko biedna Mama ze sparaliżowaną Babcią. Niemcy pozwolili jej zostać do śmierci

Babci, lecz potem musi zwolnić mieszkanie. Ojciec uciekł do Warszawy przed aresztowaniem już wcześniej.

Fot. 55. Renia, Wanda, Aniela Gądek, Babcia Pappius, Wacia, Danusia, a niżej Bronisław Gądek i ja

Fot. 56. Dłużniewice: Wanda, Renia, Zeniu, Danusia i ja

Po świętach Rudzki postanowił pojechać do Warszawy, aby wykupić z lombardu zastawione tam kosztowności. Była już zima, więc wraz z córką Hanią, wyjechał saniami. W drodze powrotnej, w okolicy Grójca, późnym wieczorem, wstąpili do restauracji na kolację. Siedli przy jednym stoliku, a fornal przysiadł się do grupy przygodnych gości przy innym stoliku. Po wyjściu z restauracji i przejechaniu kilkuset metrów kilku mężczyzn zatrzymało sanie i zażądało wydania bagażu. Rudzki zaczął protestować, a wtedy jeden z napastników wyciągnął rewolwer i go zastrzelił. I tak Hania wróciła – z martwym ojcem i bez kosztowności. Widocznie fornal musiał się wygadać w restauracji skąd wracają i po co Rudzki pojechał do Warszawy.

Ciocia Wacia bardzo rozpaczała i długi czas nie mogła dojść do równowagi – posiwiała i zeszczuplała.

Muszę tu wspomnieć o niezwykłym wydarzeniu. W Dłużniewicach dość wcześnie chodziliśmy spać. W ten wieczór, gdy Rudzki wracał do domu gdzieś tak koło godziny 11-tej wszyscy usłyszeliśmy głośny strzał. Tak jakby padł w sąsiednim pokoju. Wszyscy – chociaż spaliśmy w osobnych pokojach: my tj. Danusia, ja i Zeniu w jednym , Wacia z Renią w sąsiednim pokoju, a Rodzice i Wanda w innej części domu – zerwaliśmy się na równe nogi i pytali co się stało. Wacia w ogóle do rana nie spała, a my zastanawialiśmy się nad tym nadzwyczajnym zjawiskiem. Koło godziny 9-tej rano przyjechała Hania z martwym ojcem.

W tej sytuacji głównym celem Cioci Waci była opieka i wychowywanie Reni.

O jej powojennych losach opowiadam w osobnym rozdziale.

Po pewnym czasie Niemcy również w Dłużniewicach postanowili ustanowić treuhandera, tj. zarządzającego majątkiem, który miał nadzorować i prowadzić całą gospodarkę, dbać o terminowe dostawy deputatów, jak również o to czy wszyscy mają określony przydział pracy. Musiał też znać dobrze język niemiecki. Stosowano na ogół taką praktykę, że na to stanowisko wyznaczano ziemian wysiedlonych z poznańskiego lub z Pomorza, gdyż spełniali oni przeważnie powyższy warunek.

Do Dłużniewic przydzielono pana Kusińskiego, ziemianina chyba po 60-tce, który w czasie I-szej wojny światowej służył w armii niemieckiej. Był on człowiekiem dobrodusznym, wiarogodnym i z dużym poczuciem humoru. Cioci Waci dał wolną rękę w prowadzeniu gospodarki rolnej. Opowiedział jak nabawił się chorób. Podczas I wojny, gdy Niemcy walczyli z Francuzami pod Verdun, to zablokowali kilka niemieckich batalionów na bagnistym terenie. Batalion, w którym służył Kusiński, stał kilka tygodni w wodzie po kolana. Kusiński pokazywał nam nogi, które aż po kolana były całkowicie granatowe od zakrzepłej krwi. Z tego też powodu miał poważne problemy z chodzeniem.

Opowiadał też, że w batalionie, w którym służył funkcję szefa zaopatrzenia sprawował Adolf Hitler. Ponieważ zaniedbywał on swoje obowiązki w zakresie terminowej aprowizacji batalionu, kilku krewkich żołnierzy umówiło się jak pozbyć się Hitlera. Chcieli wrzucić go do dołu, gdzie lasowano wapno. Rozmowę podsłuchał Kusiński i zawiadomił swoich przełożonych. W wyniku czego winnych ukarano, a Hitler na kartce wyrwanej ze szkicownika wyraził mu podziękowanie, a wręczając ją Kusińskiemu powiedział: - *„Może ta kartka kiedyś ci się przyda, gdyż ja kiedyś będę przy władzy”.* Kusiński opowiadając o tym wydarzeniu skomentował: - *„Gdybym wówczas się spodziewał jaki będzie Hitler, to sam przyłączyłbym się do buntowników”.*

Kusiński obecnie zastanawiał się czy nie skorzystać z tej kartki. Coraz bardziej schorowany pojechał w końcu do Opoczna, zrobił odbitkę z tej kartki i wręczył ją Gestapo prosząc by skierowali ją do Kancelarii Rzeszy. Przyjęto go bardzo podejrzliwie i oświadczono, że jeśli się okaże, że to co mówi jest nieprawdą, to go zamkną. Po pewnym czasie wezwano go do Opoczna i potwierdzono prawdziwość wypowiedzi

Kusińskiego. Hitler jednak nie chcąc zmieniać podjętych już decyzji zaproponował Kusińskiemu. że da mu inną posiadłość w Generalnej Guberni. Kusiński jednak coraz bardziej zapadał na zdrowiu i wyprowadził się z Dłużniewic do Opoczna, gdzie z żoną zamieszkał prywatnie i tam wkrótce umarł.

Fot. 57. Dłużniewice Sawicki i ja w otoczeniu kobiet wiejskich

Fot. 58. Dłużniewice: jazda "linijką"

Do Dłużniewic więc dano innego treuhandera, pana Sawickiego, ziemianina wysiedlonego z Wygiełzowa. Okazał się on wielkim rygorystą i jak oświadczył nie zamierzał narażać się Niemcom. Dlatego chciał, by wszyscy mieszkańcy dworu mieli pisemnie określony przydział pracy fizycznej.

W tym okresie oprócz nas (ja z Danusią, Gądkowie z Wandą i Markowscy z Ewą) wszyscy zdecydowaliśmy się na wyjazd. W sumie więc w Dłużniewicach byliśmy od końca listopada 1939 r. do końca 1941 r.

W końcowym okresie naszego pobytu w Dłużniewicach umarła moja babcia w Poznaniu i Mama przyjechała do nas. Nie chciała jednak mieszkać w Dłużniewicach, dlatego razem z Zeniem zajęli pokój i kuchnię w niewykończonym jeszcze domu Gwadery. Gwadera to bogaty chłop, który dorobił się majątku m. in. kupując po kawałku ziemię od Rudzkiego, którą potem sprzedawał po wyższej cenie. Dom ten był w miejscowości Paradyż – 7 kilometrów od Dłużniewic. Zenio tam, w miejscowym młynie, znalazł pracę. Ja z Danusią często ich odwiedzaliśmy jadąc małą bryczką. tzw. "linijką" (vide zdjęcie).

Wojnicz

Po naszym wyjeździe do Wojnicza, Mama z Zeniem tam została do końca wojny. Jedynie parę dni przed wejściem Rosjan, ze względu na toczone walki, uciekli do Dłużniewic, jednak i tam front walczących dotarł. Rosyjscy żołnierze zastrzelili kilku Niemców, którzy schronili się we dworze, a potem kazali miejscowym (m. in. Zeniowi) wykopać dół i pogrzebać Niemców.

Tak się szczęśliwie zdarzyło, że stryj, z którym przyjechaliśmy ze Stanisławowa, a który zamieszkał w Wojniczu, poznał wysiedlonego ziemianina, którego Niemcy wyznaczyli na treuhandera w majątku hrabiny Stadnickiej w Wielkiej Wsi (6 km od Wojnicza). Stryj zwrócił się do niego z zapytaniem, czy nie zatrudniłby w majątku mnie w charakterze księgowego. Treuhander Stanisław Lisewski zgodził się. Gądkowie, Danusia i Wanda wynajęli sobie u pani Wajdowiczowej dwa pokoje z kuchnią, a ja udałem się do Wielkiej Wsi.

Dostałem tam obskurny pokój, zawilgocony tak, że musiałem przesunąć łóżko na środek pokoju. Nie było jednak innej możliwości, ponieważ wcześniej już wszystkie mieszkania zajęli wysiedleni, którzy dostali pracę na dworze.

Warunki pracy miałem jednak bardzo dobre. Miałem bowiem pełne utrzymanie u Lisewskich, gdzie jadłem razem z nimi. Kucharką była wysiedlona ziemianka, która gotowała jak przed wojną. Ponadto miałem tzw. „deputat", który dostawali wszyscy pracownicy we dworze. A mianowicie: 100 kg żyta na rok. 200 kg ziemniaków oraz furkę drewna na opał i niedużą ilość pieniędzy. Deputat oddawałem w całości rodzinie w Wojniczu. Jednocześnie otrzymywałem z B.G.K. z Warszawy niewielką zapomogę pieniężną miesięcznie.

Sprawa zapomogi wyglądała ciekawie. Jak wspomniałem, mój ojciec mieszkał w Warszawie, gdzie zapoznał się z pracownikami B.G.K. W rozmowie z nimi poinformował ich o moich ciężkich warunkach życiowych. Oni natychmiast powiedzieli, że Bank – poza wiedzą Niemców – prowadzi równolegle lewe interesy, a środki z tego tytułu przeznaczają na pomoc byłym pracownikom. I tak comiesięcznie, aż do Powstania Warszawskiego, dostawałem niewielką zapomogę.

W Wojniczu zaś ojciec Danusi i Wanda utrzymywali się udzielając lekcje dzieciom, a równocześnie prowadzili tajne nauczanie przygotowując młodzież do matury. Będąc w Dłużniewicach pomagałem cioci Waci, a przy okazji poduczyłem się prowadzenia gospodarki rolnej, co mi się bardzo teraz przydało. Moja praca księgowego trwała

więc bardzo krótko, gdyż Lisewski zorientował się, że mogę mu być bardziej przydatny w nadzorowaniu prac gospodarki rolnej.

Fot. 59. Wojnicz. Dom pani Wajdowiczowej gdzie urodził się Zbyszek

Fot. 60. Państwo Lisewscy podczas dożynek w Wielkiej Wsi

Zaczął więc wciągać mnie do tych prac. Uczestniczyłem w codziennych ustaleniach programów prac na dzień następny. Wobec tego służba folwarczna zaczęła nazywać mnie „rządcą". Ja zaś musiałem ukrywać przed nimi braki swej wiedzy w zakresie gospodarki rolnej, co mi się nawet udawało.

Fot. 61. W roli "rządcy"

Fot. 62. Nadzoruję żniwa w Wielkiej Wsi

Rano wstawałem skoro świt, a jesienią i zimą o 6-tej pilnując wydawania tzw. „obroku" i innych czynności w zakresie obsługi zwierząt. Miałem klucze od spichlerza i magazynów, kontrolowałem roboty w polu, jeździłem z fornalami do młyna w Wierz-

chosławicach itp. Prawie cały dzień, od rana do późnego wieczora, spędzałem na wolnym powietrzu, co spowodowało, że przestałem się zaziębiać i moje zdrowie się polepszyło. Była to dobra strona tej pracy.

Rola treuhandera była dość trudna, gdyż z jednej strony, jako wysiedlony Polak, musiał utrzymywać dobre stosunki z miejscowymi ludźmi, a z drugiej strony miał obowiązki wobec Niemców. Był jeszcze inny problem: na terenie Polski działały organizacje podziemne (Armia Krajowa, Bataliony Chłopskie, Armia Ludowa), które od dworów domagały się pomocy aprowizacyjnej. Był to odcinek współpracy bardzo niebezpieczny dla treuhandera.

Lisewski więc obowiązek kontaktów z tymi organizacjami zlecił mnie. Powiedział: - *„Jak zwrócą się o pomoc – może pan jej udzielić – ja nic o tym nie wiem”.*

Pewnego wieczora przyszedł do mnie organizator miejscowego A.K. pan Malaga (kapitan rezerwy) z propozycją zapisania się do A.K. Zgodziłem się i przybrałem pseudonim „Miecz”. Wtajemniczył mnie w arkana konspiracji i podał tylko pseudonim swego bezpośredniego przełożonego. Co jakiś czas przyjeżdżała furka i wydawałem im zboże, ziemniaki i inne produkty.

Lisewski miał więc dużą pomoc z mojej strony. Tym bardziej, że nawiązał różne handlowe kontakty z Niemcami i często wyjeżdżał do Brzeska, Tarnowa, a nawet Krakowa, pozostawiając mnie na gospodarce.

Fot. 63. Ja jako rządca, przy traktorze w Wielkiej Wsi

Lisewski nawiązał również stosunki towarzyskie z miejscową inteligencją i zapraszał ich na imieniny i święta – w tych przyjęciach również uczestniczyłem.

W Wielkiej Wsi poznałem też wiele osób z otoczenia hrabiego Zamoyskiego. W miarę bowiem posuwania się wojsk rosyjskich na zachód uciekali przed nimi przede wszystkim mieszkańcy dworów. I tak z posiadłości hrabiego Zamoyskiego pod Włodawą całe otoczenie i służba przeniosły się do Wielkiej Wsi, natomiast sam Zamoyski zamieszkał w Krakowie. Do Wielkiej Wsi przyjechali m. in. ogrodnik hrabiego, wykształcony i elegancki kamerdyner Miś, lokaje, kucharz i inni. Przyjechał też hrabia Rzewuski, który wówczas też przebywał we Włodawie. Był to bardzo przystoj-

ny mężczyzna, wykształcony (inżynieria) i świadomy aktualnej sytuacji Polaków. Powiedział kiedyś: - *„Jestem pewien, że dotychczasowa epoka, dla nas i inteligencji, bezpowrotnie się skończyła, będzie się liczyć, spryt i siła przebicia”.*

Bardzo oryginalnym typem był radca prawny hrabiny Stadnickiej dr Kotarski – stary kawaler, pijaczyna o krogulczym nosie i z monoklem w oku.

Sama hrabina Stadnicka była bardzo energiczna i bojowa, w przeciwieństwie do córki Marysi, bardzo spokojnej, z tendencją do dewocji, która w końcu wstąpiła do klasztoru na Zbylitowskiej Górze.

Cała galeria typów.

Lisewska – po pierwszym mężu hrabina Bnińska, po jego śmierci wyszła znów za mąż za zarządcę Lisewskiego.

Fot. 64. Hrabina Bninska, Danusia oraz Lisewska (z domu Bnińska)

Ponieważ po załamaniu się długotrwałego oporu Niemców pod Dębicą, Rosjanie szybko przemieszczali się na zachód, obawiałem się, że w Wojniczu, położonym przy głównej drodze z Tarnowa do Krakowa może być niebezpiecznie. Wobec tego postanowiłem Danusię z małym Zbyszkiem i teściem przenieść do domu karbowego Jewuły, domu położonego w głębi lasu, na stoku góry, 3 kilometry od dworu. Czasem też i ja, późnym wieczorem, przychodziłem tam, aby zanocować.

Wówczas też Lisewski postanowił wyjechać do Krakowa, do swego znajomego – Kazkiewicza. Zostałem na jeden dzień sam, a na drugi dzień Niemcy dali nowego komisarza – Niemca-Ślązaka z Dolnego Śląska. Nazywał się Zeliger i mówił bardzo kiepską polszczyzną. Chodził niczym gestapowiec, z psem i rewolwerem za pasem. W ostrej formie powiedział, że wszyscy muszą się podporządkować dyscyplinie wojskowej. Właściwie, to niczym się specjalnie nie interesował. Niepokoiła mnie jedynie perspektywa przyjazdu partyzantów po żywność.

I tak się stało – pewnego dnia wieczorem przyjechała ich furka. Powiedziałem

im, że niczego wydać im nie mogę, gdyż Lisewski wyjechał, a mamy Niemca, który w każdej chwili może wyjść ze dworu i nas wystrzelać. Oni jednak zdecydowanie nalegali nie tylko w sprawie żywności, ale koniecznie chcieli dostać też benzynę, potrzebną im do transportu i walki. Miałem ją w beczce w magazynie. W końcu zgodziłem się byle szybko wyjechali. W czasie przelewania ktoś zbliżył się za bardzo z latarnią do wiadra z benzyną powodując jej zapalenie. Gasiliśmy płonące wiadro tłumiąc ogień pustymi workami. I Niemiec nie przyszedł, a partyzanci pojechali, jednak zdenerwowanie było wielkie.

Za dwa dni dowiedziałem się, że Zeliger nocą wyjechał ze dworu, gdyż Rosjanie dochodzili już do Tarnowa. Otrzymałem też informacje, że cofające się w rozsypce wojska niemieckie grabią ze dworów, zabierając świnie i krowy, wozy i konie. Wobec tego zwołałem karbowych i powiedziałem, że musimy zabezpieczyć co się da. Zrobiłem listę i każdy pracownik podpisał co otrzymał na przechowanie, a przyszłe, nowe władze zadecydują co z tym zrobić. W ciągu kilku godzin wszystko zniknęło z obór i stajni.

Niemcy wpadli do dworu pytając, gdzie jest inwentarz żywy. Poinformowałem ich, że parę godzin wcześniej ich koledzy zabrali wszystko, wycofując się na zachód.

Po wojnie

Nad podziw szybko powołano nowe władze, a w Wojniczu pierwszym sekretarzem został Obłudek. Wobec tego dałem mu listę przekazanego na przechowanie inwentarza. Obłudek na to: - *„No to zrobiliście towarzyszu dobrą robotę ratując mienie społeczne”*. Odpowiedziałem, że nie jestem towarzyszem, bo jestem bezpartyjnym, a mienie jest własnością hrabiny Stadnickiej. Mimo to wręczył mi pisemne podziękowanie.

Tego samego dnia przyszli do mnie karbowi, prosząc w imieniu wszystkich pracowników, abym zgodził się zostać we dworze, bo zamierzali wystąpić z propozycją upaństwowienia majątku. Stanowczo odmówiłem stwierdzając, że zamierzam jak najszybciej wrócić do miasta.

Restaurator

Tuż przed nadciągnięciem wojsk sowieckich, część niektórych poprzednich uciekinierów i osób zamieszkałych na terenach zajętych przez Niemców zaczęła przemieszczać się na zachód. Wśród nich przybyli do dworu Wielkiej Wsi pracownicy dworscy hrabiego Zamoyskiego z Włodawy, w tym kucharz dworu. Zwrócił się on do mnie z propozycją wspólnego założenia restauracji w Katowicach, licząc na dużą ilość wolnych lokali po Niemcach. Stwierdził, że dysponuje znaczną kwotą pieniędzy, a ja – jak powiedział – wykazuję wielką inicjatywą w działaniu. Propozycja była zachęcająca, więc się zgodziłem.

Celem uzyskania zezwolenia na prowadzenie działalności handlowej w Katowicach skierowano mnie do mecenasa dr. Leiblera, który był prawą ręką ówczesnego wojewody generała Zawadzkiego. Ten – po zaznajomieniu się z moimi danymi personalnymi – stanowczo odradzał mi angażowanie się w inicjatywę prywatną, która, jego zdaniem, będzie likwidowana. Istnieją natomiast nieograniczone możliwości zdobycia stanowiska w administracji, ponieważ są poszukiwani ludzie z wyższym wykształceniem. Po długiej rozmowie i pokazaniu mu podziękowania sekretarza Obłudka otrzymałem pozwolenie na uruchomienie działalności w lokalu przy ulicy Warszawskiej, róg Granicznej.

Lokal ten był pusty, lecz wymagał remontu. Podjęliśmy prace remontowe, które w krótkim czasie przywróciły świetność tym pomieszczeniom, po czym przystąpiliśmy do urządzania wnętrza i otwarcia baru, który mógł jednorazowo pomieścić 40 osób. Bar otrzymał nazwę „Lublinianka" ponieważ mój współwłaściciel pan Filipczuk pochodził z lubelskiego.

Lokal cieszył się bardzo dużym powodzeniem, ponieważ był to jedyny lokal w tym rejonie miasta, ponadto ceny były uczciwie kalkulowane, a jakość potraw była bardzo dobra. Pobliskie zakłady pracy zabiegały o wydawanie obiadów dla swoich pracowników. To wszystko wpływało na to, że lokal bardzo dobrze prosperował.

W sąsiedniej kamienicy pozostawał nieczynny duży lokal restauracyjny. Niedługo jednak wrócił jego właściciel i otworzył restaurację. Nie miał jednak wielu klientów, gdyż ja stanowiłem dla niego poważną konkurencję. Kiedy jednak dowiedział się, że jestem prawnikiem i nie mam odpowiednich kwalifikacji do prowadzenia lokalu gastronomicznego zaskarżył mnie do sądu. Dla potrzeb sądu mój adwokat, mecenas Zenterreich zażądał wszystkich dokumentów moich i mojego wspólnika. Dokumenty te dostarczyła adwokatowi córka mojego wspólnika pani Irena Filipczuk. Po jej wizycie adwokat ten zatelefonował do mnie zachwycając się jej urodą: - *„Gdzie pan znalazł taką śliczną dziewczynę? Jest to typ kobiety, dla której mężczyzna może popełnić każde szaleństwo".* Proces wygrałem ponieważ mój wspólnik posiadał wszystkie potrzebne uprawnienia.

Lokal ten prowadziliśmy z powodzeniem przez półtora roku. Ja byłem odpowiedzialny za kupno produktów żywnościowych i prowadziłem księgowość. Co najmniej raz w miesiącu przychodziła kontrola skarbowa, która też zajmowała dużo czasu i energii. Prezes Związku Restauratorów, który miał wgląd w odpowiednie dokumenty poszczególnych restauracji zorientował się, że w stosunku do innych lokali, ja podaję zbyt duże obroty. Broniłem się stwierdzeniem, że już i tak ja znacznie zaniżam i nie mogę już ich jeszcze obniżyć. Wobec tego prezes zadecydował, że księgowość u mnie będzie prowadził pracownik wydelegowany przez Związek. Decyzja ta bardzo mnie zadowoliła również ze względu na panujący zwyczaj obdarowywania kontrolującego pracownika urzędu skarbowego.

Po półtorarocznej, korzystnej działalności naszego lokalu, pewnego dnia do lokalu przyszedł pan pytający o właściciela lokalu – kelner wskazał stolik, przy którym siedziałem. Przybysz pokazał legitymację urzędu bezpieczeństwa i powiedział: - *„My od dawna obserwujemy ten lokal i stwierdziliśmy, że przychodzi tu wiele osób, które prowadzą podejrzaną działalność handlową. Jesteśmy gotowi pozostawić ten lokal jako prywatny, pod warunkiem, że będzie pan z nami współpracował i składał informacje o interesujących nas osobach".* Odpowiedziałem mu, że donosicielem nie będę. On na to: *-„Po co takie brzydkie słowo, chodzi tylko o współpracę. Proszę tą propozycję przemyśleć i jak się pan zdecyduje, proszę zadzwonić pod numer, który panu zostawiam i prosić „Piotrusia".*

I tak skończyła się moja kariera restauratora.

Poszedłem jeszcze tego samego dnia do wspólnika, aby mu zakomunikować, że kończę współpracę i proszę abyśmy się rozliczyli. Wspólnik bardzo się zmartwił spodziewając się, że niedługo przyjdą do niego z taką samą propozycją. Tak też się stało. Jak się później dowiedziałem – po kilku miesiącach wspólnik lokal zlikwidował i wyjechał z rodziną do Włodawy.

Muszę jeszcze wspomnieć o pewnej propozycji, którą otrzymałem w czasie, gdy prowadziłem bar. Przy tej samej ulicy, przy której mieścił się nasz bar, miał dużą fabrykę obuwia Żyd o nazwisku Hut. Był on również właścicielem dużej restauracji „Atlantic" i nocnego lokalu „Bar Wojko". Tenże Hut przyszedł do mnie, aby powie-

dzieć, że cały czas obserwuje moją działalność i inicjatywę i proponuje abym się pozbył tego małego lokalu i prowadził z nim „Atlantic" i „Bar Wojko". Ja jednak nie miałem odwagi przyjąć tej propozycji, sądząc, że prędzej czy później inicjatywa prywatna będzie likwidowana.

Powrót do pracy w banku

Rodzina żony i znajomi nakłaniali mnie, abym wrócił do Banku. Po likwidacji lokalu taka okazja się nadarzyła.

Pojechałem więc do centrali B.G.K., do działu personalnego. Problemem były zachowane moje dokumenty personalne.

Przed wojną trudno było o pracę – starając się o nią prócz kwalifikacji trzeba było przedstawić tzw. referencje, czyli opinie wpływowych osób polecających. Dzięki znajomością mego ojca uzyskałem referencje od wojewody i prezydenta miasta Poznania, a dzięki kontaktom towarzyskim stryja żony – referencję szefa żandarmerii wojskowej pułkownika Bałabana.

Referencje tych dygnitarzy sanacyjnych mogły być teraz znaczną przeszkodą, a więc należało je usunąć z moich akt personalnych i zniszczyć. Na szczęście w wydziale pracowało dwóch pracowników z czasów przedwojennych, którzy, na moją prośbę, zniszczyli te referencje.

A więc droga do „kariery" w P.R.L. została otwarta. Była to – pożal się Boże – „kariera", gdyż pensje, w stosunku do przedwojennych, były bardzo niskie. Wynikało to z tego, że komuniści uważali banki za relikt kapitalizmu, który trzeba zmienić. Banki więc miały teraz nie tylko udzielać kredytów, ale przede wszystkim kontrolować całą gospodarkę produkcyjną i inwestycyjną. A więc biurokracja miała mieć wpływ na rozwój gospodarczy.

Wałbrzych

Ze względu na moją sytuację (brak mieszkania i mebli) przyjąłem propozycję pracy w B.G.K. w Wałbrzychu, gdzie ulokowano mnie tymczasowo w pokoju gościnnym. Podjąłem też tam starania w celu znalezienia umeblowanego mieszkania. Był to już jednak okres, gdy lepsze mieszkania były zajęte, bo był to rok 1947. Po prawie rocznym pobycie w pokoju gościnnym otrzymałem wreszcie mieszkanie w ładnej dzielnicy zwanej Rusinowem. Mieszkanie to, na 2-gim piętrze, składało się z 3-ch pokoi i kuchni.

Obok Banku był wprawdzie duży budynek mieszkalny stanowiący własność Banku, ale został on bezprawnie zajęty przez pracowników U.B. W tej sytuacji podjąłem starania w Radzie Narodowej o przydzielenie pracownikom UB mieszkań zastępczych. Dyrektor Banku pan Fabian odradzał mi te starania, gdyż obawiał się złej reakcji UB. Rada Narodowa wysłała swego pracownika do w/w lokatorów z konkretnymi propozycjami. UB zamknęło tego przedstawiciela Rady. W tej sytuacji musiałem jakoś zadziałać.

W tym miejscu muszę podać pewne wyjaśnienia. Mój brat Zenon studiował przed wojną na Uniwersytecie Poznańskim ekonomię. Tak się złożyło, że na tym samym roku m.in. studiowali dwaj inni jego koledzy z gimnazjum, a mianowicie Władysław Malwin i K. Kędzierski. Gdy ujawniło się, że obaj byli członkami jaczejki komunistycznej profesor Taylor wyrzucił ich ze studiów. W czasie wojny przebywali oni w Związku Radzieckim współpracując z ludźmi, którzy mieli w przyszłości rządzić Polską. Po wojnie wrócili do Polski jako ideowi komuniści, chociaż Kędzierski oświadczył mojemu bratu, że po pobycie w Związku Radzieckim całkowicie wyleczył

się z tych idei i że za cierpienia, które tam przeszedł chciałby mieć jakąś rekompensatę. Tyle wyjaśnienia.

Wracając do mieszkań w Wałbrzychu – zadzwoniłem wówczas do wojewody we Wrocławiu W. Matwina. Powołałem się na jego znajomość z moim bratem i poprosiłem go, aby zainterweniował w Radzie Narodowej Wałbrzycha i UB, gdyż jak sądzę, nowym władzom powinno zależeć na tym, aby zjednać społeczeństwo do nowego ustroju m. in. przez przestrzeganie praworządności.

Wojewoda interweniował, w wyniku czego wypuszczono z aresztu pracownika Rady Narodowej, a w ciągu kilku miesięcy wszystkich lokatorów z budynku bankowego przekwaterowano do mieszkań zastępczych.

Budynek zasiedlono przeważnie pracownikami zlikwidowanego oddziału BGK we Lwowie. Znalazły się tam też pomieszczenia na zorganizowanie bankowej stołówki. Była ona bardzo dobrze prowadzona, a recepturę wraz z wyceną potraw przygotowywał Ralf Szarota zwany przez swoją żonę pieszczotliwie „Gapciem". On sam zresztą zaakceptował to określenie i jak do nas przychodził, to mówił do małego Zbyszka: - *„Przyszedł wujcio Gapcio".*

Fot. 65., Fot. 66. W Wałbrzychu urodziła się Elżunia

A teraz parę słów o Szarocie. Ralf był człowiekiem kulturalnym i delikatnym, a jednocześnie stanowczym i konsekwentnym oraz bardzo pracowitym. Był świadomym, że nowe władze będą miały duże trudności z wdrożeniem eksperymentalnego systemu. Mówił mi, że praktyczni Niemcy robili próby w Prusach Wschodnich z wprowadzeniem tego systemu – ze skutkiem negatywnym. Miał więc ambicję, aby taką próbę podjąć, a jednocześnie określić rolę, kompetencje i zadania Banku, jako organu kontrolnego całej gospodarki przedsiębiorstw. System ten miał sprawnie działać w warunkach znacznego ograniczenia roli gospodarki rynkowej i konkurencji. Zorganizował więc nieduży zespół kolegów, którzy prócz normalnych prac kontrolnych miał za zadanie przemyśleć i przedyskutować różne projekty Szaroty. Do zespołu – oprócz Szaroty jako kierownika wchodzili: St. Kaim, J. Dąbrowski i St. Rudnicki. Maszynistką była Wisia Łotocka. Przedyskutowane projekty Szarota przekazywał do centrali BGK, a później do Banku Inwestycyjnego do wydziału przepisów.

Gdy Szarotę przeniesiono do Warszawy chciał on nas tam wciągnąć – wszyscy odmówiliśmy. Dąbrowski wyszedł z Banku, Kaim skierowany został do Krakowa, a ja zostałem wyznaczony na roczny kurs w Warszawie.

Po dwóch latach rozmawiałem z Szarotą, który przyznał, że podjął się wówczas zadania graniczącego z utopią.

Kapitalizm bowiem kształtował się w teorii i praktyce przez wiele lat, a komunizm opracowali tylko teoretycy Marks i Engels, a praktyczne jego stosowanie w gospodarce rosyjskiej nie było efektywne.

Mimo tych niepowodzeń centrala Banku postanowiła zorganizować roczny kurs dla tzw. „kadry sztabowej", która później miała szkolić innych pracowników w oddziałach terenowych. Na kurs powoływano młodych pracowników z wyższym wykształceniem, do których ja wówczas należałem.

W sumie pracowałem w Wałbrzychu od 1947 do 1949 roku. Zorganizowano mi uroczyste pożegnanie z wspólną fotografią.

Fot. 67. Pożegnanie z pracownikami Banku Gospodarstwa Krajowego w Wałbrzychu. U góry trzeci od prawej Kaim, na prawo ode mnie dyr. Fabian, w środkowym rzędzie druga z lewej Maria Rzepecka

Zakwaterowano nas w Zalesiu Górnym koło Warszawy, a na wykłady dojeżdżaliśmy do Warszawy specjalnym autobusem. Wykładowcami byli m. in. minister Minc, prof. Żurawicki, prof. Blas i inni. Wykładowcy mieli duże kłopoty, gdyż sami musieli się zapoznawać z nowymi teoriami. Wynikały z tego śmieszne sytuacje, które omawialiśmy w Zalesiu. Wykładowcy nie umieli odpowiedzieć na wiele naszych pytań i odsyłali nas do dalekiej przyszłości, kiedy to praktyka zweryfikuje ich teorie.

Po kursie zorganizowano z nami spotkanie osobno dla partyjnych (nieliczna grupa) i osobno dla bezpartyjnych (większość). Partyjni mieli prawo wyboru, a bezpartyjnym proponowano dwa do trzech miejsc pracy.

Dostałem oferty następujące: Gliwice, Lublin lub Radom – wraz z mieszkaniem w banku.

Ja natomiast myślałem o Poznaniu, ale tam w nowym budynku rozdzielono już wszystkie mieszkania. Na Śląsk nie chciałem ze względu na niekorzystne warunki zdrowotne.

Kielce

Po skończeniu kursu spotkałem dyrektora Skierkowskiego z Kielc, który zachęcał wszystkich do pracy w nowoorganizowanym oddziale oferując dobre warunki pracy. Ze względu na to, że moja rodzina przebywała wówczas w Katowicach, niezbyt odległych od Kielc, ofertę przyjąłem.

Niestety, rzeczywistość okazała się zła. Skierkowski prowadził bowiem taką politykę kadrową, że zatrudniał element robotniczo-chłopski bez względu na kwalifikacje. Zmuszało to mnie do ciągłego szkolenia tych ludzi bez większych efektów. Dochodziło więc do ciągłych starć między mną, a Skierkowskim. Mówiłem mu, że bank ma określone zadania, powinien mieć kwalifikowaną kadrę, a nie może być szkołą dla analfabetów.

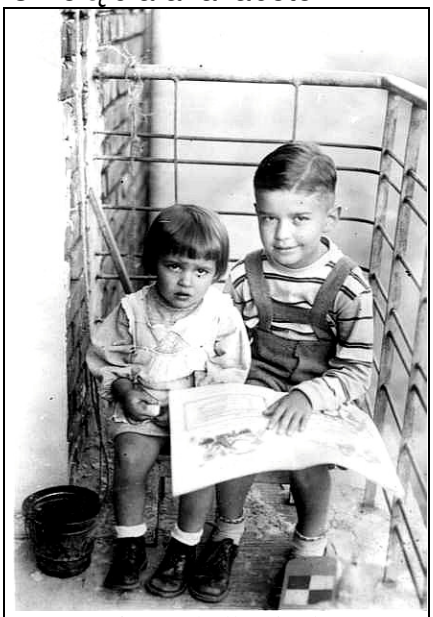

Fot.68. Na balkonie domu w Kielcach

Ponadto mieszkanie otrzymałem na peryferiach Kielc na ul. Mazurskiej, w niedużym budynku bankowym, gdzie na parterze mieszkał naczelnik Kałuski z żoną, a na pierwszym piętrze ja z rodziną. Dojazd był fatalny, gdyż droga, zwłaszcza jesienią i zimą, była nie do przejścia. Na moją interwencję centrala wyraziła zgodę, aby dowożono nas do pracy i po pracy samochodem służbowym.

Na początku tej ulicy, bliżej miasta, mieszkał też Skierkowski. Kiedy zatrzymywaliśmy się, aby go zabrać, odmawiał, gdyż jak mówił: - *„nie zamierza korzystać z żadnych przywilejów”*. Był to człowiek, który chciał stworzyć obraz gorliwego i wiernego komunisty. Wtajemniczeni mówili, że chciał on ukryć pewne fakty z przeszłości. Dlatego też na 1-go Maja sam nosił czerwony sztandar, a do Banku angażował tylko partyjnych.

W tej sytuacji zmuszony byłem siedzieć w Banku od rana do wieczora, by wykonać prace za pracowników, którzy tego nie potrafili.

Po roku mojej ciężkiej pracy przyjechał zespół kontrolny, by ocenić wyniki pracy Oddziału. W ekipie kontrolnej znalazła się również **Kazia**, którą poznałem po raz pierwszy. Ona kontrolowała inne wydziały, a ja nadzorowałem wydział inwestycji, więc do żadnych rozmów między nami nie doszło.

Wyniki kontroli mojego zespołu były dobre, ale wiedziano, że w tej sytuacji kadrowej, jest to głównie moja zasługa.

Na podsumowanie wyników kontroli przyjechał naczelny dyrektor Banku Jan Wojnar (przed wojną na czele Banku stał prezes). Dyrektor Wojnar był wyjątkowo rozumnym człowiekiem, dobrym organizatorem i starał się poznać wszystkich ludzi na kierowniczych stanowiskach w Banku. Posiadał charakterystykę każdego dyrektora w Banku.

Po odprawie rewizyjnej poprosiłem dyrektora Wojnara o rozmowę prywatną. Opisałem dokładnie sytuację w Oddziale i moje kłopoty z tym związane. Powiedział, że chciałby zobaczyć jak mieszkam. Poznał również moją żonę i dzieci, a na zakończenie powiedział: -*„Ma pan rzeczywiście trudną sytuację, a więc muszę pana z niej wyciągnąć i pozwolić na rozwój pańskiego talentu organizacyjnego i fachowego”.*

W niedługim czasie zostałem służbowo przeniesiony do Krosna.

W Kielcach byłem więc od 1950 do 1952 roku.

Krosno

Delegacja do pracy w Krośnie nosi datę 15.04.1952 na stanowisko dyrektora Oddziału. Po otrzymaniu tej nominacji wziąłem zaległy urlop i do Oddziału w Kielcach już nie wróciłem. Odszedłem bez pożegnania. Okres w Kielcach zaliczam do najgorszego okresu mojego życia. Uważam, że Żeromski dlatego był pesymistą, ponieważ urodził się w Kielcach.

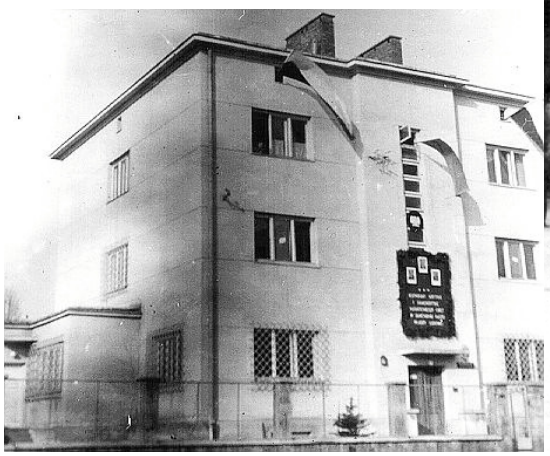

Fot.69. Bank w Krośnie

Fot.70. W Iwoniczu Zdroju z pracownikami Banku

Fot.71. W Krośnie: Zbyszek, Elżunia oraz dzieci sąsiadów Ryś i Basia Wareccy.
Fot.72. Z tyłu domu był mały ogródek i Danusia hodowała w nim kilka kur

Fot.73 Danusia z dziećmi i przygarniętą bezdomną suczką Diną.
Fot. 74.W pobliżu Krosna "kiwaki" pompowały ropę naftową

Bank w Krośnie był w początkowej fazie organizacji. Mieścił się w kilku wynajmowanych pokojach, ponieważ właściwy budynek bankowy, oraz drugi budynek mieszkalny znajdowały się w fazie robót wykończeniowych, które trwały już prawie rok. W tym czasie mieszkałem w pokoju hotelowym. Po zakończeniu robót ściągnąłem żonę i dzieci do nowego, 3-pokojowego mieszkania na 2-gim piętrze budynku bankowego.

Na tym samym piętrze było także mieszkanie dla głównego księgowego. Był też pokój gościnny na 1-szym piętrze. Dozorca miał mieszkanie odrębne, na zewnątrz budynku.

W banku praca układała się bardzo dobrze, ale były i zgrzyty.

Kolega Baranowski, który pełnił również funkcję pierwszego sekretarza PZPR w Oddziale, a prywatnie był przyjacielem pierwszego sekretarza powiatowego PZPR, zapragnął mieć wpływ na angażowanie nowych pracowników – członków partii. Stanowczo się temu sprzeciwiłem, oświadczając, że dyrektor jest odpowiedzialny za pracę i wyniki w banku. Istnieje więc potrzeba angażowania pracowników kwalifikowanych z wyższym wykształceniem, niezależnie od przynależności partyjnej. Większość pracowników na naradach roboczych podzielała moje stanowisko, ale na naradzie zorganizowanej z mojej inicjatywy przy udziale również przedstawicieli z Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Rzeszowie bali się wyrazić swój pogląd. A więc byłem osamotniony.

Centrala Banku przyznała mi rację, a szef kadrowy z Centrali dyrektor Kozicki powiedział: -*„Proszę się nie obawiać, bo w razie dalszych kłopotów przeniosę pana do innego oddziału na takie samo stanowisko. Ale mam też inny pomysł, aby panu pomóc”*. Jak się zorientowałem dyrektor Kozicki chciał za jednym zamachem rozwiązać swój kłopot w Centrali i mnie pomóc jednocześnie. W Centrali bowiem pracował niejaki Bylica, góral z pochodzenia, a jego żona była przyjaciółką żony dygnitarza UB Radkiewicza. A więc Bylica mógł bezkarnie ubliżać różnym dyrektorom departamentów, mówiąc m. in., że są czerwoni jak rzodkiewka, a w środku biali. Kozicki zaś chciał się go pozbyć z Warszawy, a ja miałem do dyspozycji w nowym budynku kilka wolnych mieszkań. Zachęcił więc Bylinę, że będzie miał bliżej gór i nowe mieszkanie.

Bylica się zgodził i przyjechał z żoną do Krosna. Dla pracy w Banku Bylica nie był dobrym nabytkiem. Nie miał wykształcenia, a metody kontrolne, które polegały na zastraszaniu klientów sankcjami były mało skuteczne. Dla mnie jedyną korzyścią było to, iż potrafił mnie bronić przed ingerencją miejscowych partyjnych kacyków w sprawy Banku.

W tym okresie zaszły również pewne zmiany organizacyjne w przemyśle naftowym. Zjednoczenie Przemysłu Rafineryjnego przeszło spod kompetencji Oddziału Banku w Krakowie do kompetencji Oddziału w Krośnie.

W związku z rozmowami na ten temat O/wojewódzki w Krakowie wydelegował Kazię do Krosna. Było to więc moje drugie spotkanie z Kazią.

Była ostra zima i słabo ogrzewane wagony kolejowe, zaprosiłem ją więc do naszego mieszkania na herbatkę. Chciałem ją również odprowadzić na dworzec, ale widziałem, że Danusia była z tego niezadowolona.

W okresie pracy w Krośnie zorganizowałem nowe placówki Banku, a mianowicie utworzyłem placówki pełnomocnika przy Narodowym Banku Polskim w Jaśle, Sanoku i w Gorlicach, gdzie niestety doszło do tragedii. Na pełnomocnika zaangażowałem bardzo zdolną kobietę, a jako jej zastępcę mężczyznę żonatego, pracownika NBP. Oboje po pewnym czasie zakochali się w sobie. Ponieważ on miał rodzinę, to nie widzieli innego wyjścia, jak razem popełnić samobójstwo. Zatruli się gazem ziemnym, który wówczas był powszechnie używany do ogrzewania mieszkań.

Po roku na inspekcję przyjechał dyrektor Wojnar z Centrali. Interesował się wszystkim. Na okresowej naradzie dyrektorów w Warszawie pochwalił moją pracę organizacyjną i zawodową. Wówczas bowiem, po roku pracy, zdobyłem pierwsze miejsce w tej kategorii oddziałów.

Fot.75. W Iwoniczu.

Fot.76. Pożegnanie Krosna

Choroby. Śmierć Danusi

Ale pomimo satysfakcji z wyników pracy zawodowej miałem w Krośnie wiele osobistych kłopotów.

Zbyszek ciągle chorował (bóle żołądka, wymioty, brak apetytu). Jeździliśmy do specjalistów pediatrów we Wrocławiu i Krakowie (prof. Greer), którzy jednak nie dali właściwej diagnozy. Dopiero – jak się okazało – w Krośnie, że było to ropne zapalenie wyrostka robaczkowego – musiano przeprowadzić natychmiastową operację. Lekarz jednak ostrzegł, że jest to sprawa bardzo poważna. Zbyszek przez miesiąc leżał w szpitalu pijąc tylko gorzka herbatę i trzymając na brzuchu termofor z lodem a potem dopiero zdecydowano się na kilkugodzinną operację

Również ja często chorowałem na zapalenie oskrzeli i ciężką grypę. Diagnoza była utrudniona ze względu na przestarzały sprzęt diagnostyczny (roentgen). Wówczas to specjalista pulmonolog orzekł, że mam kilka dziur w płucach i powinienem jechać do Zakopanego do dr. Rzepeckiego, aby przeprowadzić operację. W tych czasach państwo nie miało środków na długotrwałe i kosztowne leczenie i według poufnych instrukcji zalecano w takich przypadkach wycinanie chorego płuca.

Zdeprymowany udałem się do Zakopanego. Przenocowałem w pensjonacie „Maryśka" u dawnej znajomej pani Zającowej, która odradziła mi pójście do dr. Rzepeckiego, a poradziła pójście do znanego specjalisty pulmonologa dr. Ludwika Fischera, byłego dyrektora sanatorium płucnego w Davos (Szwajcaria). Dr Fischer po wstępnym badaniu orzekł, że sprawa jest nie dość jasna i wymaga rozeznania. Przyjął mnie więc do sanatorium „Bojowników o Wolność i Demokrację" na stoku Antałówki. Po trzymiesięcznym pobycie w sanatorium doktor dał mi pewną diagnozę, że obraz dziur dają pęcherze rozedmowe, które mam od urodzenia. Uradowany wyrzuciłem lekarstwa, którymi mnie faszerowano (m. in. rakotwórczy hydrazyt) i wróciłem do Krosna.

Ale nie był to koniec moich zmartwień, gdyż Danusia miała mieć drobny, jak twierdzili lekarze, zabieg ginekologiczny (nadżerka). Zabieg się nie udał, a prócz tego dostała ostrego zapalenia płuc.

Zdobycie właściwych leków było bardzo trudne, dlatego chodziłem do ludzi, którzy dostawali leki z zagranicy, aby je zdobyć. Lekarze orzekli, że stan jest bardzo ciężki, dlatego przeniesiono ją do osobnego pokoju, a ja siedziałem przy niej dzień i noc.

W końcu, jednego dnia (18.V.1957), Danusia umarła na moich rękach.

Koledzy z Banku bardzo mi pomagali w transporcie zwłok do Katowic, gdzie została pochowana.

Dziećmi zajęła się siostra Danusi Wanda zabierając je do Katowic, gdzie była rodzina (ciocia Rudzka, Renia itp.)

Kraków

W tej sytuacji nie widziałem celu dalszego pozostawania w Krośnie. Pożegnano mnie z płaczem, tylko parę osób partyjnych, z Baranowskim, było zadowolonych.

Władze Banku bardzo mi pomogły w zmianie miejsca pracy uznając moje zasługi w organizowaniu nowych placówek. Chodziło głównie o mieszkanie. Z dużych miast tylko w Krakowie miał być wybudowany blok mieszkalny. Dodatkową jednak była decyzja dyrektora Oddziału w Krakowie Kaima, który nie życzył sobie zastępcy. Ale gdy dowiedział się, że chodzi o mnie (znaliśmy się z Wałbrzycha) – wyraził zgodę.
A więc w 1957 roku zostałem mianowany zastępcą dyrektora Oddziału w Krakowie.

Do czasu ukończenia bloku mieszkalnego przy ul. Fałata, ulokowano mnie w pokoju gościnnym Banku (róg Rynku i Floriańskiej) na ostatnim piętrze vis à vis kościoła Mariackiego. Wysłuchiwałem więc co godzinę hejnału.

Fot.77. Kraków

Dla mnie najważniejszą i najpilniejszą sprawą było, abym mógł sprowadzić dzieci z Katowic i założyć z Kazią normalną rodzinę.

Do realizacji tego celu konieczne więc było mieszkanie. Budowa bloku przy ul. Fałata trochę się przeciągała, a to z dwóch powodów:

1. dokumentacja wpływała do wykonawcy budowy ratami, gdyż NBP tolerował te opóźnienia projektanta inż. Gawłowskiego;
2. to opinia wykonawcy budowy, że teren budowy zalewany jest podskórną wodą.

Wobec powyższego NBP zlecił inż. Fuksie z Politechniki Krakowskiej wykonanie ekspertyzy. Natomiast zdaniem naszych inżynierów, w tym inż. Flisowskiego, specjalisty od spraw wodnych ekspertyza inż. Fuksy była zbyt ogólna i niejasna. Wobec tego zleciłem inżynierowi Flisowskiemu wykonanie kontr-ekspertyzy.

Inż. Flisowski jednoznacznie wyjaśnił, że woda jest tzw. zastojowa, a pod nią znajduje się grubsza warstwa ziemi skamieniałej.

Dzięki tej kontr-ekspertyzie zaoszczędzono dodatkowych kosztów na zrobienie przy fundamentach betonowych osłon – co przewidywała ekspertyza inż. Fuksy i oczywiście wydłużyłby się czasokres realizacji budowy.

Po ostatnich przejściach byłem bardzo zmęczony i czułem się źle psychicznie.

Ślub z Kazią

Na szczęście, niedługo po przyjeździe, całkiem przypadkowo spotkałem Kazię. A było to tak:

Kaim miał kilkudniowy urlop. Wówczas – zastępując go przeniosłem się do jego gabinetu. Wtedy to Kazia w jakiejś służbowej sprawie przedsiębiorstwa, w którym pracowała, chciała rozmawiać z dyrektorem Oddziału Banku. Weszła więc do gabinetu i zdziwiona spotkała mnie zamiast Kaima.

Obydwoje byliśmy bardzo zaskoczeni. Pokrótce wyjaśniłem Kazi moją sytuację. Umówiliśmy się na następne spotkanie w kawiarni. Zaprosiłem wówczas również Krysię Huczkowską. Krysia bowiem uprzednio chciała mnie wyswatać ze swoją kuzynką Jarecką. Po spotkaniu Kazia i Krysia przypadły sobie do serca i zostały przyjaciółkami do dziś.
Wkrótce wzięliśmy ślub cywilny – świadkami byli: Lidka Reyman i Józef Łyskowski (prawnik i elegancki gentelman przedwojenny). Ślub kościelny odbył się 12.04.1958 r. w kościele na Salwatorze. Świadkami były: Maria Batko (Kazi koleżanka) i Lusia – Kazi siostra.
Na skromne przyjęcie u Kazi (wynajmowała wówczas pokój w budynku mieszkalnym PKO przy ul. Zyblikiewicza 5) zaprosiliśmy również Kaima

Fot.78. Kazia

Praca w Krakowie

Będąc zastępcą dyrektora na zlecenie Kaima nadzorowałem placówki terenowe pełnomocników w Nowym Targu i Olkuszu.

W tym czasie zostałem delegowany przez Centralę Banku Inwestycyjnego do nowego oddziału w Chrzanowie. W początkowym okresie rozruchu pełniłem tam funkcję dyrektora Oddziału, a następnie przekazałem Oddział dyrektorowi Wróblewskiemu (pismo Centrali z 20.11.1962 r.). Dojeżdżałem wówczas z Krakowa samochodem służbowym do Chrzanowa.

Ze względu na to, że Kaim nie lubił kontaktów zewnętrznych z władzami terenowymi scedował na mnie te obowiązki. Współpracowałem więc z Miejską Komisją Planowania Gospodarczego i jej przewodniczącym prof. Jasieńskim, ponadto z prezydentem miasta Skolickim i innymi. Brałem udział w różnych powoływanych komisjach dla rozwiązywania konkretnych spraw (np. Komisja ds. rozdziału robót). Miałem więc dobre stosunki z władzami, co umożliwiało mi załatwianie niektórych, żywotnych spraw dla Banku np. przydział mieszkań dla angażowanych czy przenoszonych służbowo pracowników.

Kraków zawsze pretendował do bycia dużym ośrodkiem kultury. Miał jednak poważnego konkurenta w Warszawie. Stolica Polski oferowała lepsze warunki mieszkaniowe i płacowe. Ściągała więc do Warszawy literatów i twórców kultury. Wynikały więc obawy gospodarzy miasta, że Kraków może coraz bardziej podupadać Wobec tego podejmowano starania o zezwolenie na budowę nowej stacji telewizyjnej, co leżało w wyłącznej kompetencji Warszawy. Zwlekała ona jednak z decyzją z roku na rok.

Wobec tego gospodarze miasta Krakowa wymyślili, aby pod pretekstem tzw. czynu społecznego rozpocząć budowę. Pomysł ten formalnie nie był zgodny z przepisami. Naciskano więc na Bank, aby dla dobra miasta przyjął taką interpretację działania inwestycyjnego.

Kaim zaś nie chciał na ten temat rozmawiać i odesłał ich do mnie. Ja, mając stałe kontakty z Radą Miasta rozumiałem ich troskę o rozwój Krakowa i wyraziłem zgodę na rozpoczęcie finansowania. Wkrótce jednak dowiedziała się o tym warszawska Najwyższa Izba Kontroli. Udałem się wówczas do prezydenta Krakowa Skolickiego, aby starał się zażegnać sprawę prosząc o pomoc krakowianina – ówczesnego premiera Józefa Cyrankiewicza. Skolicki udał się do Warszawy.

Po pewnym czasie przyjechał zaproszony premier Cyrankiewicz, aby dokonać wmurowania kamienia węgielnego pod budowę. Cyrankiewicz miał duże poczucie humoru, które wykazał oświadczając: -*„Po raz pierwszy w życiu uczestniczę w uroczystości wmurowania kamienia węgielnego kiedy to główny budynek jest na ukończeniu. Wypada więc tylko podziękować inicjatorom”*. Stojący obok mnie profesor Jasieński powiedział do mnie: -*„Gdybyśmy dogadali się z Bankiem, moglibyśmy chyba wybudować fabrykę amunicji”*.

Fot. 79. Ośrodek TV na Krzemionkach

Fot. 80. Nadanie odznaczenia

W związku z omawianą sprawą otrzymałem złotą odznakę „Zasługi dla miasta Krakowa” oraz poparcie wniosku Banku o przyznanie mi Krzyża Kawalerskiego (za który obecnie dostaję parę groszy).

W Krakowie w Banku przyjęto mnie różnie. Jedni obojętnie, inni – głównie naczelnicy – z niechęcią, że jakiś przybysz z Krosna pokrzyżował ich nadzieje na objęcie stanowiska dyrektora. Byli również tacy, którzy okazali mi życzliwość, a szczegól-

nie: Kolega Bobola, inżynierowie Kamiński i Flisowski, kolega Michałowski i inni. Ponadto nadzwyczajną życzliwość okazał mi delegowany z Warszawy, na okres przejściowy, dyrektor Woźniczko.

Niechętni mi koledzy byli widocznie tak głośni, że ich głosy dotarły i do Warszawy. Pewnego dnia zatelefonował ówczesny naczelny dyrektor Banku Mijal.
W gabinecie nie było jednak Kaima, więc odebrałem telefon. Mijal powiedział: -*„Cóż to u was się dzieje towarzyszu Kaim?”*. Odpowiedziałem, że dyrektora Kaima nie ma – wyszedł służbowo, a ja go zastępuję. On na to: -*„To powiedzcie dyrektorowi Kaimowi, aby zrobił porządek z rozrabiaczami i nie tolerował rzeczpospolitej krakowskiej. Jeśli nie potrafi zrobić z tym porządku, to ja sobie z tym poradzę”*. O telefonie tym poinformowałem Kaima.

Kain poinformował mnie wówczas, że między dwoma frakcjami PZPR toczy się spór. Frakcja stalinowska Mijala poniosła klęskę. Brat Kaima Franciszek, który wówczas był w przeciwnej frakcji popierał Gomółkę. Brat Kaima był wówczas ministrem przemysłu ciężkiego. Ponieważ Mijal był za słaby by zwalczyć jego brata, pragnie zemścić się na nim.

Po pewnym czasie odbyła się znów krajowa narada dyrektorów Banku, na którą Kaim delegował mnie. Wówczas ponownie zostałem wezwany do Mijala, który powiedział mi, iż jest bardzo niezadowolony z Kaima, który jest mało energiczny i nieporadny, a w Oddziale rządzi grupa rozrabiaczy. Wobec tego chciałby żebym go informował o sytuacji w Oddziale. O tej rozmowie poinformowałem Kaima, a Mijal nie doczekał się żadnych informacji.

Dwaj inżynierowie: Kamiński i Flisowski, z życzliwości dla mnie, obserwując nieprzychylną atmosferę wobec mojej osoby, przyszli do mnie z propozycją wstąpienia do partii. Uzasadniali to tym, że trzeba skończyć wreszcie z taką sytuacją, iż niektórzy niewykwalifikowani i niewykształceni członkowie partii usiłują pouczać i strofować osoby starsze i wykształcone. Mówili również, że wstąpienie moje do partii może wzmocnić moją pozycję wobec niechętnych mi pracowników. Wierzyłem w ich dobre intencje i dlatego wyraziłem zgodę. Był to mój błąd. Na szczęście dość szybko zreflektowałem się, że Gomółka nie dotrzymuje swoich obietnic, wobec czego oddałem legitymację, podając powyższe jako powód. Zrobiłem to jeszcze przed powstaniem „Solidarności”.

Po pół roku przyjechał do Krakowa zastępca Mijala – dyrektor Ogryczak (miernota), aby dokonać pewnych przemieszczeń kadrowych między oddziałami w Krakowie i Nowej Hucie. Widziałem, że coś chce mi powiedzieć, ale namyśla się jak to zrobić. W końcu przyszedł do mojego gabinetu, siadł na fotelu przy otwartym oknie, zamknął oczy tak jakby się opalał i w końcu wydukał: -*„Przyjechałem tu z polecenia towarzysza Mijala, który do Was ma pretensje, że nie wykonaliście jego polecenia informowania o sytuacji w Oddziale. Teraz mamy przeprowadzić pewne zmiany personalne i w związku z tym Wy zostaniecie przesunięci ze stanowiska zastępcy dyrektora na stanowisko eksperta z utrzymaniem wysokości dotychczasowych poborów”.*

Po załatwieniu spraw w Oddziale Ogryczak miał wygłosić wykład, z ramienia Towarzystwa Ekonomicznego, na temat rozwoju gospodarczego i roli banku. Poszedłem z ciekawości na ten odczyt. Po wykładzie, w czasie dyskusji, zabrał głos jeden z profesorów Akademii Ekonomicznej. Powiedział wprost: -*„Jestem bardzo rozczarowany tym wykładem, gdyż dyrektor Ogryczak nie powiedział niczego ciekawego, a tylko powtórzył oklepane frazesy, które można wyczytać w codziennej prasie”.*

Ja więc zostałem ekspertem do spraw inwestycyjnych.

Uważam, że inicjatorzy przesunięcia mnie na funkcję eksperta myśleli, że jeśli ktoś pełnił funkcję dyrektora przez wiele lat, to nie da sobie rady jako ekspert. Wziąłem się ostro do pracy, siedząc niekiedy do późnych godzin wieczornych. Podjąłem zatem prace dotyczące kilku projektowanych inwestycji. I tak np. przeanalizowałem projekt rozbudowy starego Zakładu Produkcji Armatury, projekty rozwiązań komunikacyjnych w Krakowie, bardzo szczegółowo rozpracowałem projekt rozbudowy zakładu tlenku glinu służącego do wytwarzania aluminium. Zakład ten znajdował się w Górce pod Trzebinią.

Wszystkie moje prace eksperckie Centrala Banku oceniała dobrze. Sprawdzano nawet prawidłowość moich stwierdzeń. I tak np. opracowanie dotyczące tlenku glinu zlecono ekspertowi pani docent Ormanowej płacąc jej dość wysokie wynagrodzenie. Pani docent całkowicie potwierdziła moje opinie.

W międzyczasie zaszły poważne zmiany w Centrali Banku. Naczelny dyrektor Mijal – w wyniku kłótni partyjnych – uciekł do Albanii. Tam ogłosił się pierwszym sekretarzem PZPR na emigracji.

Nowa dyrekcja, na wniosek dwóch dyrektorów departamentów, wysłała do Krakowa szefa personalnego pana dyrektora Cenkiera, który po załatwieniu innych spraw, przyszedł do mnie, aby mnie przeprosić za różne „nieporozumienia" i zaproponować mi powrót na stanowisko dyrektora. Wyraził się przy tym, że łatwiej jest znaleźć eksperta niż dobrego dyrektora. Zaproponował mi kilka oddziałów. Oświadczyłem mu wówczas, że nie mam zamiaru wyjeżdżać z Krakowa.

W tym czasie – ze względów osobistych – przenoszono z Warszawy do Nowej Huty zastępcę dyrektora departamentu Stanisława Karbonowskiego. Wówczas to dyrektor Cenker zapytał mnie czy nie zechciałbym pójść na stanowisko zastępcy dyrektora Oddziału w Nowej Hucie. Odpowiedziałem, że znam dyrektora Karbonowskiego i chętnie przyjmę to stanowisko. Pan Karbonowski również wyraził na to zgodę i tak zostałem jego zastępcą w Nowej Hucie.

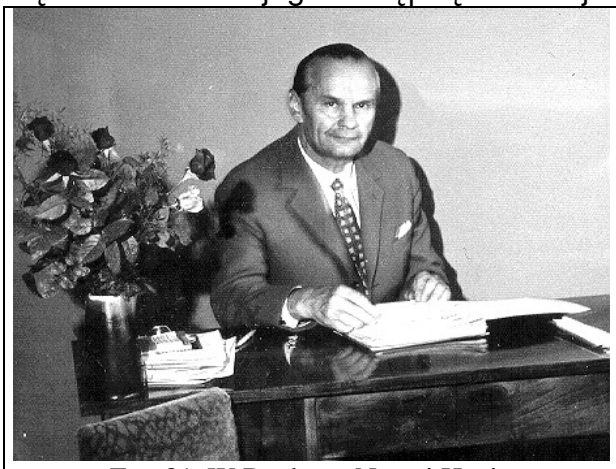

Fot. 81. W Banku w Nowej Hucie

Warunki lokalowe w Nowej Hucie były złe, czuło się ciasnotę. W tym budynku bowiem mieścił się również oddział Narodowego Banku Polskiego, który wcześniej zajął dużą część lokali. Wobec tego naczelnicy wydziałów nie mieli odrębnych pokoi. Ja siedziałem więc z nowo zaangażowanym zastępcą dyrektora ds. technicznych inżynierem Wieczorkiewiczem. Z dyrektorem Karbonowskim współpraca układała się dobrze, chociaż był on dość rygorystycznym formalistą i przestrzegał ściśle przepisów nie wchodząc w to, jakie dadzą one efekty gospodarcze.

Jego zdaniem te sprawy należały do władz centralnych. Mogłem jednak z nim dyskutować na różne tematy. Po pewnym czasie zaprzyjaźniliśmy się z nim i utrzymywaliśmy stosunki towarzyskie. W dni wolne wyjeżdżaliśmy za Kraków wraz z moją żoną i dziećmi.

Znajomi i przyjaciele w Krakowie

W początkowym okresie mojego pobytu w Krakowie – po ślubie z Kazią - nawiązaliśmy bardzo szerokie stosunki towarzyskie, na ogół z ludźmi spoza Banku.

I tak – jak już wspomniałem – z Krysią Huczkowską (z domu Jarecką) i jej mężem Zdzisławem. Dużo wolnych dni spędzaliśmy u nich w Węglówce, gdzie według projektu Zdzisława wybudowali sobie domek. Budynek zlokalizowany jest na wzniesieniu, z dala od drogi i domów miejscowej ludności. Krysia bardzo często tam przebywała, a po śmierci Zdzisława stale nas zapraszała.

Fot.82. Zbyszek i Krysia Huczkowska na tarasie domu w Węglówce

Fot.83. W Zakopanem na Nosalu: Kazia, Elżbieta, Krysia z synem Pawłem, Zbyszek

Wyjeżdżaliśmy też wcześniej razem za granicę (ale tą socjalistyczną) tj. na Węgry i do Bułgarii. Przyjacielem Krysi i Zdzisława był bardzo kulturalny, dowcipny i towarzyski Aleksander Żukowski, Ormianin ze Lwowa, którego poznaliśmy i zaprzyjaźniliśmy się z nim. Był on kolekcjonerem książek i różnych niezwykłych przedmiotów. Mieszkanie jego było tak zablokowane tymi zbiorami, że z trudnością można się było przecisnąć. Umarł nagle na serce – po dwóch dniach, gdy nie dawał znaku życia, przy asyście policji, wyważono drzwi jego mieszkania.

Inną osobą z naszego kręgu towarzyskiego była znana w Krakowie lekarka-ginekolog doktor Alicja Horak. Miała ona gabinet w Szarej Kamienicy wspólnie z dr Szlapakową, ciotką byłego premiera Cyrankiewicza. Pani Horak bardzo dużo podróżowała po świecie, była ona bowiem członkiem światowego Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa. Wydawało się to podejrzanym miejscowym władzom partyjnym, więc dali jej w końcu partyjnego opiekuna, za którego, po powrocie z jednej z podróży, wyszła za mąż.

Fot.84. Lidka Reymanowa

Żywe stosunki towarzyskie utrzymywaliśmy również z moją przedwojenną sympatią Lidką Reymanową. Jej mąż Henryk należał do przedwojennej elity Krakowa. Bywaliśmy u siebie w domach. Ja przychodziłem do Reymanów na bridża. U nich miałem okazję poznać m. in. Magdalenę Samozwaniec – córkę Wojciecha Kossaka. Pani Madzia denerwowała partnerów, gdyż ciągle dogadywała i żartowała.

Lidka była ładna, zgrabna i umiała się ładnie ubierać, to też miała wielkie powodzenie u mężczyzn. Jeden tylko mężczyzna potrafił się oprzeć jej wdziękom mówiąc: - *„Uroda przeminie – zostanie stara baba”.* Był to sędzia śledczy z Grudziądza pan Meisner, znany również Krysi Huczkowskiej, gdyż wówczas jej ojciec był prezesem sądu okręgowego w Grudziądzu.

Okazało się potem, że sędzia Meisner współpracował w czasie wojny z okupantem i wchodził w skład najbliższych współpracowników gubernatora Generalnej Guberni Franka.

Fot.85. Kazia z Lidką

Lidka lubiła chodzić do kawiarni i na bale. Po paru latach Henryk zmarł. Pogrzeb odbył się przy bardzo licznym udziale Krakowian. Lidka na pogrzeb ubrała się z przesadną elegancją, gdyż na głowie miała mały, zgrabny cylinderek i krótką woalkę. Z jej licznych znajomych i przyjaciół zostało już niewielu.

Jej siostra Halina, wdowa po znanym zakopiańskim komorniku panu Jeleńskim mało interesowała się swoją siostrą. W końcu Lidka, dość osamotniona, zaczęła chorować, dostała się do Domu Starców „Helclów" i tam zmarła.

Zmarli również Herbstowie, wspólni nasi znajomi. Krzysztof Herbst był, w okresię międzywojennego 20-lecia czołowym polskim tenisistą. Dziś poszedł w zapomnienie. *„Sic transit gloria mundi".*

Bardzo ciekawą osobowością był dobry Kazi znajomy, prawnik Józef Łyskowski. Bardzo elegancki, kulturalny przedwojenny gentelman, pochodzący ze znanej ziemiańskiej rodziny z poznańskiego. Ponieważ był w opozycji do ówczesnego systemu politycznego, nie mógł pracować w swoim, prawniczym zawodzie, natomiast pracował w różnych, małych prywatnych względnie spółdzielczych przedsiębiorstwach. Józiu włączył się do naszego towarzystwa uczestnicząc w spotkaniach, wyprawach do teatrów itp. Niestety, wyjechał do Warszawy, ożenił się z lekarką i coraz bardziej podupadał na zdrowiu. Niedługo zmarł na zawał serca.

Fot.86. Z Ninką w Budapeszcie

Nasza przyjaźń z Wacnikami rozpoczęła się od tego, że w organizowanej przez jedno z przedsiębiorstw finansowanych przez bank, w którym pracowała Kazia zaproponowano jej dwa wolne miejsca w wycieczce na Węgry. Kazia nie mogła wówczas wyjechać i zaproponowała z kolei wolne miejsce Nince pracującej w tym samym banku, a z drugiego miejsca skorzystałem ja. Zwiedziliśmy wówczas nie tylko Budapeszt z jego zabytkami, ale również liczne miejscowości położone nad Balatonem. Był to mój pierwszy wyjazd za granicę (1967 r.), a potem już razem z Ninką i Kazią wyjeżdżaliśmy na Węgry i do Bułgarii (1968 r.).

Wówczas to nie znaliśmy jeszcze Stefana Wacnika, gdyż wyjeżdżał on z ramienia „Polservis"-u na kilka delegacji zagranicznych, jako specjalista w zakresie budowy cukrowni. W jednym roku – między jednym, a drugim jego wyjazdem – poznaliśmy go i serdecznie się z nim zaprzyjaźniliśmy.

Od tej pory Stefan, ze wszystkich wyjazdów służbowych za granicę przysyłał nam miłe kartki i listy ze szczegółowymi informacjami np. z Kuby, Hiszpanii, Iranu, Iraku.

Wcześniej, za zarobione pieniądze Stefan – wspólnie z kolegą z pracy - panem Giemzowskim wybudowali sobie dom dwurodzinny. Na parterze osiedlił się Stefan, a na piętrze jego kolega.

Bułgaria i Jugoslawia

Ponieważ na wyjazd do krajów tzw. „kapitalistycznych" trzeba było mieć dolary, które przydzielano w wysokości 100 $ na osobę, wystąpiłem o ten „przydział" i po wykupieniu 200 $ wyjechaliśmy z Kazią do Bułgarii, a stamtąd do Jugosławii. Jechaliśmy pociągiem z Warny do Niżu w Jugosławii.

Wagony w pociągu były prawie puste, gdyż między Bułgarią a Jugosławią były wówczas jakieś nieporozumienia. Konduktor Bułgar nudził się, więc przyszedł do naszej separatki na pogawędkę. Pytał o trasę naszej podróży, a gdy dowiedział się, że zamierzamy najkrótszą drogą autobusową dotrzeć do wybrzeża nad Adriatykiem w Jugosławii powiedział: -*„No to macie odwagę!"*. Później zrozumieliśmy sens tej wypowiedzi.

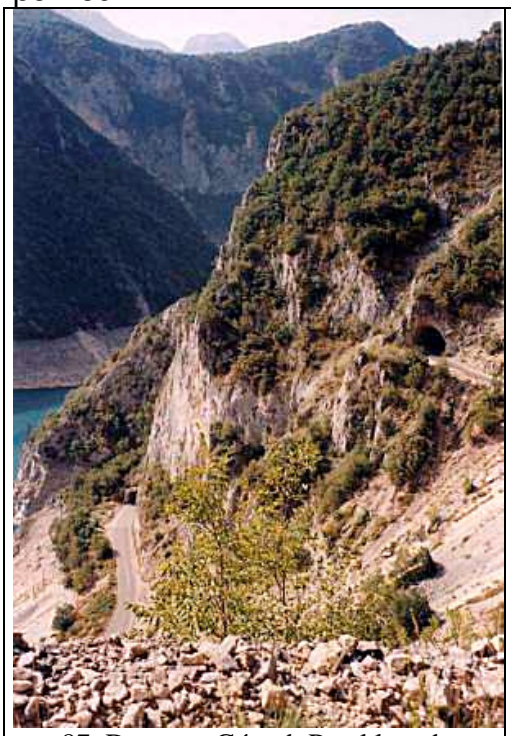

87. Droga w Górach Przeklętych

Z Niszu jechaliśmy autobusem, bardzo wąską drogą, przez tzw. Góry Przeklęte. Co pewien czas wjeżdżaliśmy na wykute w skałach „półki", aby przepuścić z rzadka jadący z przeciwka samochód. Jako znaki ostrzeżenia wzdłuż drogi, nad przepaściami, stały krzyże i wraki rozbitych samochodów W autobusie, wśród nielicznych pasażerów, wyłącznie Albańczyków w turbanach, Kazia była jedyną kobietą. Przed wieczorem dojechaliśmy do Prisztiny. Tu zamierzaliśmy przenocować. Po wyjściu z autobusu staliśmy przez chwilę namyślając się, w którą stronę pójść. Wtedy podbiegł do nas jeden z Albańczyków, wziął dwie nasze walizki i łamanym rosyjskim powiedział, że poprowadzi nas do hotelu, gdyż o tej porze mogą nas nie wpuścić. Widoczne było, że z jakiegoś powodu sytuacja jest napięta. Albańczyk zapukał do drzwi hotelu (tylnego wejścia) i tamtędy nas wpuszczono. Rano postanowiliśmy – nawet bez hotelowego śniadania – jak najprędzej wyjechać. Autobus jechał bardzo powoli.

Dowiedzieliśmy się, że od czasu do czasu dochodzi między Serbami i Albańczykami do starć. Zobaczyliśmy zresztą przy wyjeździe naszego autobusu z Prisztiny taką scenę: autobus był przepełniony Serbami, a jakiś opóźniony Albańczyk usiłował jeszcze wsiąść, ale konduktor kopnął go w twarz.

O różnych przykrych incydentach opowiadała nam również później Jugosłowianka, u której mieszkaliśmy. Ostrzegała nas, abyśmy nie przechodzili blisko budynku milicji, bo to są zbóje.

Celem naszej podróży była jakaś miejscowość na wybrzeżu.

Po drodze zatrzymaliśmy się w Titogradzie, miasto czyste i uporządkowane, ale nieciekawe, zabudowane blokowiskami. Zanocowaliśmy w prywatnym mieszkaniu.

Następny odcinek drogi był podobny do poprzedniego jeśli chodzi o skalę trudności (droga wąska, kręta, pnąca się wysoko w górę).

Wreszcie dotarliśmy do miejscowości Petrowac w Czarnogórze, bardzo ładnie położonej na zboczu gór opadających w stronę morza. Postanowiliśmy tam zostać

na okres naszego pobytu i robić wypady do pobliskich miejscowości nadmorskich. Ze względu na to, że to był już wrzesień nie było tłoku i ceny były niższe. Zwiedziliśmy Budvę, Bar, Kotor i duży zalew, Herceg Novi, półwysep św. Stefana i inne.

Dzięki temu, że wybraliśmy taką nietypową trasę mieliśmy okazję zobaczyć dwie Jugosławie: jedną wzdłuż morskiego wybrzeża, zabudowaną luksusowymi hotelami obliczonymi na zachodnich turystów celem przysporzenia dewiz i tę drugą – wiejską i małomiasteczkową – zaniedbaną i skonfliktowaną. Nie dochodziło jednak do ostrzejszych walk, gdyż Tito trzymał porządek mocną ręką.

Któregoś dnia, jak siedliśmy nad morzem, na ławeczce, aby podziwiać wspaniały koloryt morza i gór – które były może nieco „kiczowate" swą jaskrawością – przysiadł się do nas jakiś Jugosłowianin. Mówił całkiem dobrze po polsku. Był kelnerem w dużym hotelu – było po sezonie, więc dostał urlop. Powiedział, że zwykle w czasie urlopu zwiedza różne kraje Europy. Był również i w Polsce i zna Kraków. Zaproponował nam pożyczkę (w dolarach), którą odebrałby sobie będąc w Krakowie. Podziękowaliśmy i pożyczki, oczywiście, nie wzięliśmy. W dalszej rozmowie wyraził pogląd, że obecnie Jugosławia, pod reżimem Tity jest na ogół spokojna i jakby w uśpieniu. Ale z chwilą śmierci Tity obudzi się – i nastąpi powszechna walka.

Drogę powrotną z Jugosławii – za namową wielu osób – wybraliśmy pociągiem z miejscowości Bar do Belgradu. Jest to najładniejsza i najciekawsza trasa w Europie. Podobno trasę tę wytyczał sam Tito - lecąc samolotem. Część tej trasy biegnącej przez wysokie góry posiada kilkadziesiąt mostów między szczytami i tuneli. Wykupiliśmy wprawdzie bilet w wagonie sypialnym, ale nie spaliśmy. Noc była jasna, więc podziwialiśmy „księżycowe" widoki. Było to niepowtarzalne przeżycie. Pociąg jadąc, wydawał różne dźwięki. Huczał jadąc przez tunele, a inne przez żelazne konstrukcje mostu między szczytami. Czasem zatrzymywał się, aby zlikwidować usuwisko kamieni z torów. Bardzo polecam tą trasę, chociaż dla ludzi o słabych nerwach nie jest wskazana.

Pamiętam. że jak jechaliśmy autobusem w kierunku wybrzeża zobaczyliśmy błyski na wysokich górach, blisko szczytów. Widocznie słońce odbijało się w szybach przejeżdżającego tam pociągu. Wówczas wydawało się nam to nieprawdopodobne, a teraz wiemy, iż tak rzeczywiście było.

Zmiany w banku w roku 1970

W roku 1970 zaszły poważne zmiany w bankowości.

Bank Inwestycyjny, który miał znacznie lepszą kadrę pracowniczą niż Narodowy Bank Polski, stale zgłaszał pewne propozycje władzom centralnym celem odbiurokratyzowania prac i przez to osiągania lepszych efektów gospodarczych. Do tych uwag dochodziła, z innej pozycji, krytyka Mijala, dotycząca działalności poszczególnych ministrów. Tego już było za wiele dla władz centralnych i zrobiono to, co zwykle robi się w systemach niedemokratycznych, a mianowicie – zlikwidowano kłopotliwy Bank Inwestycyjny. Agendy Banku przekazano Narodowemu Bankowi Polskiemu.

W związku z tym nastąpił także szereg zmian personalnych.

Kaim przeniósł się do Kombinatu Nowa Huta, niektórzy przeszli na emerytury, a innych poprzydzielano do różnych oddziałów NBP.

Ja zostałem zastępcą dyrektora w I. Oddziale NBP na Podgórzu, gdzie dyrektorem był Zbigniew Patoczka, który dał mi całkowitą swobodę w podejmowaniu decyzji, a na jednej z narad powiedział: - *„Co zarządzi dyrektor Rudnicki, to tak jak bym, to ja ustalił"*. Wraz ze mną do I. Oddziału skierowano kilku pracowników z Ban-

ku Inwestycyjnego. Patoczka był jednocześnie zaangażowany w dużym stopniu w pracach związanych ze związkami zawodowymi. Był jednak bardzo znerwicowany i często zażywał różne pigułki. Powolnie też podejmował decyzje, które wymagały szybkiej reakcji (np. sprawa kasjera Lelka) i inicjatywy (dotyczących złych warunków lokalowych). Starałem się pomagać mu w zmianie tej sytuacji. Muszę jednocześnie przyznać, iż mimo pewnych słabości był człowiekiem uczciwym i zdolnym do sądów obiektywnych.

Na moim pożegnaniu, kiedy to po przedłużonym o rok okresie pracy odchodziłem na emeryturę powiedział: -*„Ja osobiście mam dużo do zawdzięczenia dyrektorowi Rudnickiemu”.* Był to ładny gest z jego strony.

Patoczka przeszedł do Oddziału Wojewódzkiego na stanowisko opróżnione przez dyrektora Kieslera. Z kolei do I. Oddziału na dyrektora przeniesiono dyrektora M. Ziółkowskiego z Oddziału Wojewódzkiego. Moje stosunki z nim były bardzo dobre.

Wracając do mojej pracy w I. Oddziale NBP muszę stwierdzić, że jak pierwszy raz przyszedłem do tego Oddziału, to tak złych warunków pracy dotąd, w żadnym banku nie widziałem.

W zamierzeniu projektantów budynek był wyłącznie przeznaczony na cele bankowe, o czym świadczył cały układ pomieszczeń. I tak: w przyziemiu znajdowało się mieszkanie dla dozorcy oraz szereg pomieszczeń na archiwa, na wysokim parterze mieściła się tylko sala operacyjna, a na pierwszym piętrze był duży holl, z którego wchodziło się do poszczególnych pokoi. Ubikacje były zlokalizowane przy klatce schodowej przed wejściem do hollu i nie było łazienek.

Decydując o zmianie przeznaczenia tego lokalu na I piętrze na cele mieszkalne, musiano dokonać pewnych adaptacji.

Decyzja ta jednocześnie zamknęła drogę do dalszego rozwoju banku.

W tym stanie rzeczy wszystkie wydziały (a więc sekretariat, księgowość, dyrekcja itp.) były ściśnięte w sali operacyjnej podzielonej przeszklonymi boksami. Otrzymałem więc miejsce w jednym boksie razem z Patoczką. Czułem się jak w akwarium lub zoo. Postanowiłem więc jak najszybciej zadziałać, by zmienić ten nienormalny stan. Korzystając z moich dawnych, dobrych kontaktów z Radą Narodową postanowiłem rozpocząć starania o przekwaterowanie wszystkich lokatorów z pierwszego piętra budynku.

Najpierw udało się przekwaterować tylko jednego lokatora, a do opuszczonego przez niego pokoju przenieśliśmy się obydwaj z Patoczką. Aby utrzymać szybkie kontakty z poszczególnymi komórkami Oddziału zrobiono małą windę do przewożenia różnych dokumentów i teczek do podpisu. Po kilku miesiącach udało się przekwaterować dwie emerytki i w końcu dyrektora VII Oddziału Gryglaszewskiego, który zajmował kilka pokoi.

Wszyscy przekwaterowani byli bardzo zadowoleni, gdyż otrzymali mieszkania w lepszej lokalizacji, niż w zaniedbanym wówczas Podgórzu.

Dalszych usprawnień lokalowych dokonał znów następny dyrektor Ziółkowski.

W późniejszych latach, kiedy zmieniono I Oddział NBP na Bank Przemysłowo-Handlowy dalszych zmian w ramach działalności inwestycyjnej dokonano za kadencji dyrektor Marii Nowaczyk. Pani Nowaczyk została przyjęta do Banku kilka lat wcześniej jako absolwentka Wyższej Szkoły Ekonomicznej i przeszkolona przez nas w zakresie działalności bankowej. Pani Nowaczyk okazała się jako pracownik energiczny i utalentowany, mający dużą inicjatywę. W tym czasie dobudowano do starego budynku nową część, założono klimatyzację, wyodrębniono dla pracowników pokój śniadaniowy i dokonano wielu usprawnień.

Emerytura

Po przejściu na emeryturę pracowałem jeszcze półtora roku na ½ etatu w PKO na Wielopolu. Dyrektorem był tam wówczas Pan M. Błocki. Kontrolowałem wówczas ajencje PKO przy zakładach pracy.

I na tym zakończyłem pracę w bankowości.

Krewni, przyjaciele, znajomi

Nawiązując do podanych na wstępie założeń do „Wspomnień", przedstawiam poniżej sylwetki osób, z którymi łączyły nas wspólne przeżycia rodzinne lub przyjacielskie na różnych etapach naszego życia.

Moje dzieci i wnuki

Z pierwszego małżeństwa mam dwoje dzieci – syna Zbigniewa i córkę Elżbietę.

Syn Zbigniew urodził się 20.02.1944 r. w Wojniczu, w domu pani Wajdowiczowej. Zbysiu maturę zdał w Liceum im. Sobieskiego, a następnie rozpoczął studia na Akademii Górniczo-Hutniczej, na wydziale elektrotechnicznym. Zarówno nauka w liceum, jak i na studiach przebiegała mu bez problemów. Po uzyskaniu dyplomu magistra inżyniera pozostał na uczelni przechodząc poszczególne szczeble kariery naukowej i dydaktycznej (doktorat 16.12.1982 r).

Z pierwszego małżeństwa ma córkę Joasię urodzoną 16.07.1973 r., która z matką mieszka w Londynie i tam po uzyskaniu doktoratu z nauk biologicznych rozpoczęła studia medyczne. Bardzo się martwię o jej przyszłość.

Fot.88.Zbyszek z małą Joasią.

Fot.89. Joasia

Fot.90. Ślub Zbyszka z Joanną

Z drugiego małżeństwa zawartego 20.06.87 r. z Joanną Dziaduś (ur.23.VIII.1953), absolwentką Wydziału Odlewnictwa AGH ma syna Daniela urodzonego 11.12.1987 r. w Krakowie.

Daniel – podobnie jak Zbysiu – ukończył naukę w Liceum im. Sobieskiego i po maturze zapisał się na Międzywydziałową Inżynierię Materiałową (chemia + fizyka) w Uniwersytecie Jagiellońskim. Wyniki nauki zarówno w gimnazjum, jak i liceum miał zawsze bardzo dobre i celujące. Jak dotąd jest bardzo dobrze zapowiadającą się osobą. Oby tak dalej!

Fot.91. Goście na ślubie Zbyszka z Joanną

Fot.92. Mały Daniel w czapce wujka Janka. Fot. 93. Daniel - harcerz. Fot.94. Daniel w maju 2007

Córka Elżbieta urodziła się w Wałbrzychu 15.01.1949 roku.
Po maturze ukończyła 2-letnią pomaturalną Państwową Szkołę Medyczną Techników Analityki (tzw. college), a następnie ukończyła wyższe studia biologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim uzyskując stopień magistra. Profesor prowadzący tą katedrę proponował jej pozostanie na uczelni i kontynuowanie kariery naukowej. Elżbieta nie skorzystała jednak z tej propozycji i rozpoczęła pracę zawodową w Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, a następnie w Szpitalu im. G. Narutowicza, gdzie pracowała w pracowni Serologii Transfuzjologicznej, a później zorganizowała i prowadziła Bank Krwi, aż do przejścia na wcześniejszą emeryturę.
Bardzo podziwiałem jej pilność, wytrwałość, sumienność i pracowitość, gdyż potrafiła pogodzić studia i pracę zawodową.

Fot. 91, 92. Elżbieta i Zbyszek

Fot. 93. Pierwsza komunia Eli

Fot.94. Ślub Elżbiety z Andrzejem (w środku)

W dniu 5.10.1978 r. wyszła za mąż za Andrzeja Chmarzyńskiego, który wówczas pracował w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym „CEBEA" jako konstruktor sprężarek i dmuchaw.

Muszę tu podkreślić, że dzieci moje utrzymywały i nadal utrzymują bardzo silny związek uczuciowy ze mną, służą mi pomocą w razie potrzeby, co jest niezwykle ważne dla mnie, zwłaszcza teraz, w moim wieku.

Kazia i jej rodzina

W czasie mojej pracy w Kielcach zjechała ekipa kontrolna delegowana przez Centralę Banku Inwestycyjnego. Jej celem było skontrolowanie całokształtu działalności Oddziału B.I. w Kielcach. Członkiem ekipy była też Kazia. Wówczas to po raz

pierwszy spotkałem się z Kazią, a spotkanie ograniczyło się tylko do przywitania i pożegnania, bowiem Kazia nie kontrolowała działalności pionu, którym ja kierowałem. Drugie spotkanie miało miejsce w Oddziale B.I. w Krośnie, w związku z przekazaniem finansowania i kontroli Zjednoczenia Nafty i Rafinerii przez Oddział Wojewódzki B.I. w Krakowie Oddziałowi B.I. w Krośnie. Po spotkaniu Kazię zaprosiłem na herbatę do mojego mieszkania (była ostra zima), gdzie poznała Danusię i moje dzieci. A trzecie spotkanie odbyło się już w Krakowie, gdzie zostałem przez Centralę B.I. przeniesiony, o czym pisałem już we wcześniejszej części moich „Wspomnień".

O Kazi nie powinienem pisać, gdyż z nią trzeba być i czuć jej obecność, patrząc, jak z jej twarzy i oczu promieniuje dobroć. Czasem irytuje może nawet – moim zdaniem – przesadny humanitaryzm w stosunku do ludzi, którzy nie zasługują na uznanie i dobroć. Myślę jednak, że dzięki takiej postawie Kazia jest powszechnie lubiana.

Fot.95. Kazia

Fot.96. Kazia ze mną na wakacjach

Kazia (nazwisko panieńskie Baran) urodziła się 20.04.1926 r. w Łużnej, gdzie jej rodzice zamieszkali po kupnie parcelowanego majątku, przeprowadzając się z Nawojowej koło Nowego Sącza i budując dom w Łużnej. Do kupna ojciec został zachęcony przez swojego przyjaciela z wojska Czuchowskiego, który z kolei przeniósł się w te strony spod Lwowa. Rodzina Kazi była bardzo znana i poważana w powiecie.

Ojciec Kazi bardzo interesował się polityką. Po pewnym czasie rodzice Kazi otworzyli sklep spożywczy, który prowadzili do wybuchu wojny.

Kazia miała jednego brata Edwarda, który zmarł, pozostawiając żonę i czworo dzieci, oraz ma trzy siostry:

Pierwsza siostra Eleonora (Lusia) ukończyła prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim i pracowała w administracji Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie jako radca prawny – tam poznała Jerzego Potępę, również prawnika, za którego wyszła za mąż.

Muszę tu podkreślić, że oprócz wielu innych zalet - Jurek jest nieoceniony w spotkaniach towarzyskich ponieważ posiada wspaniałą umiejętność opowiadania dowcipów zwłaszcza politycznych oraz pisania i wygłaszania okazjonalnych wierszy.

Namawiam go dlatego by nagrał przynajmniej część tych dowcipów.

Fot.97.Lusia i Jerzy Potępowie. Fot.98.Marian z Martą i wnukiem Jasiem. Fot.99.Zosia z wnukami

Druga siostra Zofia - po maturze pracowała jako księgowa w kilku przedsiębiorstwach – wyszła za mąż za Mariana Domżalskiego, specjalistę w zakresie instalacji i konserwacji wind, sprawując między innymi nadzór nad urządzeniami dźwigowymi w dużych budynkach (np. sanatoria w Szczawnicy). Zofia i Marian mają dwoje dzieci:

Martę, która po ukończeniu Akademii Ekonomicznej w Krakowie, oraz dwóch specjalności na studiach podyplomowych (w Poznaniu na tamtejszym uniwersytecie i w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim) wyjechała na staż do Brukseli. Tam poznała przyszłego męża Franka Beck'a – obywatela Luksemburga. W małżeństwie tym urodziło się dwoje dzieci: Karolinka i Jasiu. Stanowią bardzo pozytywne i kochające się małżeństwo, wychowując bardzo dobrze swoje dzieci.

Piotra - również absolwenta Akademii Ekonomicznej w Krakowie, bankowca, aktualnie dyrektora Oddziału Banku Przemysłowo-Handlowego w Krakowie. Na studiach poznał on przyszłą żonę Annę Issę. Stanowią również bardzo miłą i dobraną parę i mają troje dzieci: Magdę, Dominikę i Weronikę.

Fot.100-103. Siostry Kazi: Jasia i Zosia. Beata z mężem. Marta z mężem. Piotr z córkami

Najmłodsza siostra Kazi to Janina, która ukończyła wyższe studia bibliotekarskie we Wrocławiu, a następnie przez szereg lat pracowała w bibliotekach. Wyszła za mąż za Jana Stępnia, zawodowego wojskowego, który już jako pułkownik przeszedł na emeryturę. Z tego małżeństwa mają córkę Beatkę, bardzo miłą i ładną matkę dwojga dzieci: Zuzi i Kajtusia.

Matka Kazi wychowała wzorowo wszystkie swoje dzieci dbając zarówno o ich rozwój duchowy, ale także intelektualny, mając na uwadze ich wykształcenie konieczne w przyszłym życiu.

Ksiądz Władysław Gądek (8.IX.1884 - 4.VIII.1951)

Wśród osób, z którymi się przyjaźniłem poczesne miejsce zajmuje ksiądz doktor Władysław Gądek (stryj mojej żony Danusi), który urodził się w Wojniczu. Gimnazjum ukończył w Bochni, a wyższe studia teologiczne odbywał w Rzymie i tam otrzymał doktorat. Biskup, który skierował go do Rzymu powiedział żartobliwie: *„Musimy Władka wysłać daleko, bo jeszcze nam się w Polsce ożeni”.*

Ksiądz Władysław bardzo się różnił od swego brata Bronisława – ojca Danusi. Ksiądz Władysław był bardzo dynamiczny, ciekawy świata i wesoły. Brat Bronisław – flegmatyczny, małomówny, typowy profesor z brodą – nauczyciel matematyki i fizyki.

Ksiądz Gądek był katechetą w gimnazjum. Miał dwie pasje: Turystykę i brydża. W okresie międzywojennym wyjeżdżał co roku za granicę - najczęściej „Batorym”. Poznawał wtedy różnych ciekawych ludzi. Z wycieczek tych przywoził całą masę zdjęć, które wkładał do ciężkich, oprawnych w skórę albumów. Odczuliśmy to podczas naszej podróży ze Stanisławowa, gdyż zabrał wtedy kilka albumów.

Fot. 104. Ksiądz dr Władysław Gądek i jego brat Bronisław na wycieczce w Tatrach

Po wojnie, jak zacząłem pracować w B.G.K. w Wałbrzychu, ksiądz Gądek również przeniósł się tam, otrzymując parafię w Wałbrzychu w dzielnicy Piaskowa Góra.

Zaprzyjaźnił się tam z przesiedlonymi Lwowianinami, którzy byli częstymi gośćmi parafii. Ksiądz Gądek miał na ogół znajomych i przyjaciół „cywilów”. Jedynym wyjątkiem – jak mi wiadomo – była przyjaźń z księdzem Bargiem, który był zaraz po wojnie proboszczem w bogatej parafii w Polanicy Zdroju. Wówczas to ksiądz Władysław wiedząc, że jestem po zapaleniu opłucnej i nie stać mnie na prywatne wyjazdy lecznicze, zaproponował mi, że porozumie się z księdzem Bargiem, abym mógł wyjechać na odpoczynek do Polanicy.

Parafia posiadała osobny budynek z pokojami gościnnymi dla księży. Pojechałem więc do Polanicy, a całe utrzymanie miałem u księdza Barga. Gospodarkę do-

mową prowadziła jego siostra, która powiedziała mi: *„Muszę wszystkiego bardzo pilnować, ponieważ brat wszystko rozdałby potrzebującym”.* Rzeczywiście tak było. Ksiądz Barg należał bowiem do nielicznych księży, których miałem okazję spotkać w moim życiu, był bowiem – jak to się mówiło – „prawdziwym księdzem”. Skromny, spokojny, cierpliwy, uśmiechnięty i życzliwy do ludzi.

Danusia ze mną i małym Zbyszkiem byliśmy częstymi gośćmi księdza Gądka. Z reguły wyjeżdżaliśmy tramwajem już w piątek po południu, a wracaliśmy do domu w niedzielę wieczorem. Danusia mogła więc odpocząć po codziennych zajęciach, a Zbysiu mógł bawić się w dużym ogrodzie.

Gospodarkę u księdza prowadziła przybyła z Wojnicza daleka krewna - pani Józia, która świetnie gotowała.

Fot.105. Na schodach parafii w Wałbrzychu-Piaskowej Górze z panią Józią

Fot. 106. Młody ksiądzGądek

Fot.107. Grób księdza Gądka

Jak wspomniałem ksiądz Gądek miał dwie pasje, a szczególnie turystykę. Problem jednak był w tym, że chorował na serce, a lekarze zabronili mu wyjazdów w góry. On jednak tak kochał Zakopane i góry, że nie mógł sobie odmówić, aby co pewien czas wyjeżdżać.

Jednego roku umówił się ze swoim przyjacielem, dyrektorem kopalni „Pokój” (nazwiska nie pamiętam), że wybiorą się na parę dni do Zakopanego. Najczęściej ksiądz Gądek zatrzymywał się w „Księżówce” przy drodze do Kuźnic, albo w „Domu Świętego Józefa” nad potokiem Bystrym prowadzonym przez zakonnice. Tam też zatrzymał się i tym razem.

Rano jego przyjaciel wstał i zawołał: -*„Władek wstawaj, trochę zaspaliśmy!”.* Ale Władek nie odezwał się. Podszedł więc do niego i stwierdził, że Władek nie żyje. Umarł we śnie.

Został pochowany w ukochanym Zakopanem na cmentarzu przy ul. Nowotarskiej. Później, ilekroć byliśmy w Zakopanem, odwiedzaliśmy jego grób i dzieci, a przede wszystkim Elżbieta, chodzili na cmentarz i porządkowali jego grób. Po kilku latach proboszcz zlecił budowę jednego, dużego grobowca, aby tam przenieść prochy księży z różnych grobów na cmentarzu. Tam też znalazły się prochy księdza Gądka i tabliczka z jego nazwiskiem. Taki był koniec jego ziemskiej wędrówki.

Renata Prawdzic-Rudzka (Zwoźniakowa) (1930 – 5.I.1997)

Po tragicznej śmierci ojca (zastrzelonego przez bandytów w okresie okupacji) i zakończeniu działań wojennych Renia (cioteczna siostra mojej pierwszej żony) wraz z matką (Wacławą Rudzką) opuściły częściowo już zdewastowany dwór w Dłużniewicach i wyjechały do rodziny (Markowskich) w Katowicach. Dla Reni był to duży wstrząs psychiczny gdyż była dzieckiem bardzo wrażliwym i ciężko przeżyła nagłą zamianę sielankowego pobytu wśród przyrody i zwierząt, we dworze otoczonym pięknym parkiem na mieszkanie w brzydkich, szarych i zapylonych Katowicach. Wrażenia tego kontrastu ujawniły się później w twórczości literackiej Reni.

Fot.108. Renata

Teraz przedstawiam w wielkim skrócie dalsze losy Reni. Po maturze w roku 1950 Renata Rudzka herbu Prawdzic rozpoczęła studia filozoficzne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (KUL), który był wtedy azylem dla wszystkich takich jak ona "źle urodzonych" (bo nie mających "pochodzenia robotniczo-chłopskiego" ani z "inteligencji pracujacej"), niepotrzebnych brutalnemu systemowi kłamstwa i represji.

Reni trudno było zasymilować się w nowym systemie. Tkwiła nadal psychicznie w swoim wymarzonym ogrodzie dzieciństwa i nikt nie mógł jej stamtąd wyrwać.

Kim była? Była pisarką i poetką wyjątkowej wrażliwości i prawości, konsekwentna i wierna życiowym wyborom.

Razem z mężem Zdzisławem Zwoźniakiem (kolega ze studiów) w roku 1955 rozpoczęła pracę zawodową w redakcji "Gościa Niedzielnego" (nadzorowanego wówczas przez PAX).

Renata i Zdzisław byli wówczas w bliskich kontaktach z Tadeuszem Mazowieckim i Andrzejem Wielowieyskim, biorąc udział w akcie protestacyjnym przeciw przewodniczącemu PAX Bolesławowi Piaseckiemu, wyrazicielowi twardego kursu politycznego. Nie było więc dla nich miejsca w "Gościu Niedzielnym". Wobec tego Zdzisław zaczął pracować w "Panoramie" przez blisko 25 lat, a Renata w dziale kulturalnym "Trybuny Robotniczej", lecz po dwu latach została zwolniona jako absolwentka KUL. Pracowała więc dorywczo w "Echu", "Gońcu Górnośląskim" i "Poglądach" jako korektorka.

Pisała też pod pseudonimem Renata Prawdzic publikacje m.in. w "Tygodniku Powszechnym" i "Więzi", a także recenzje teatralne i powieści. Po wydaniu książki "Romans z ludożercą" została członkiem Katowickiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Zabierając głos w dyskusjach wyrażała śmiało swoje poglądy. Po sierpniu 1980 r. stała się bardziej ożywiona i aktywna.

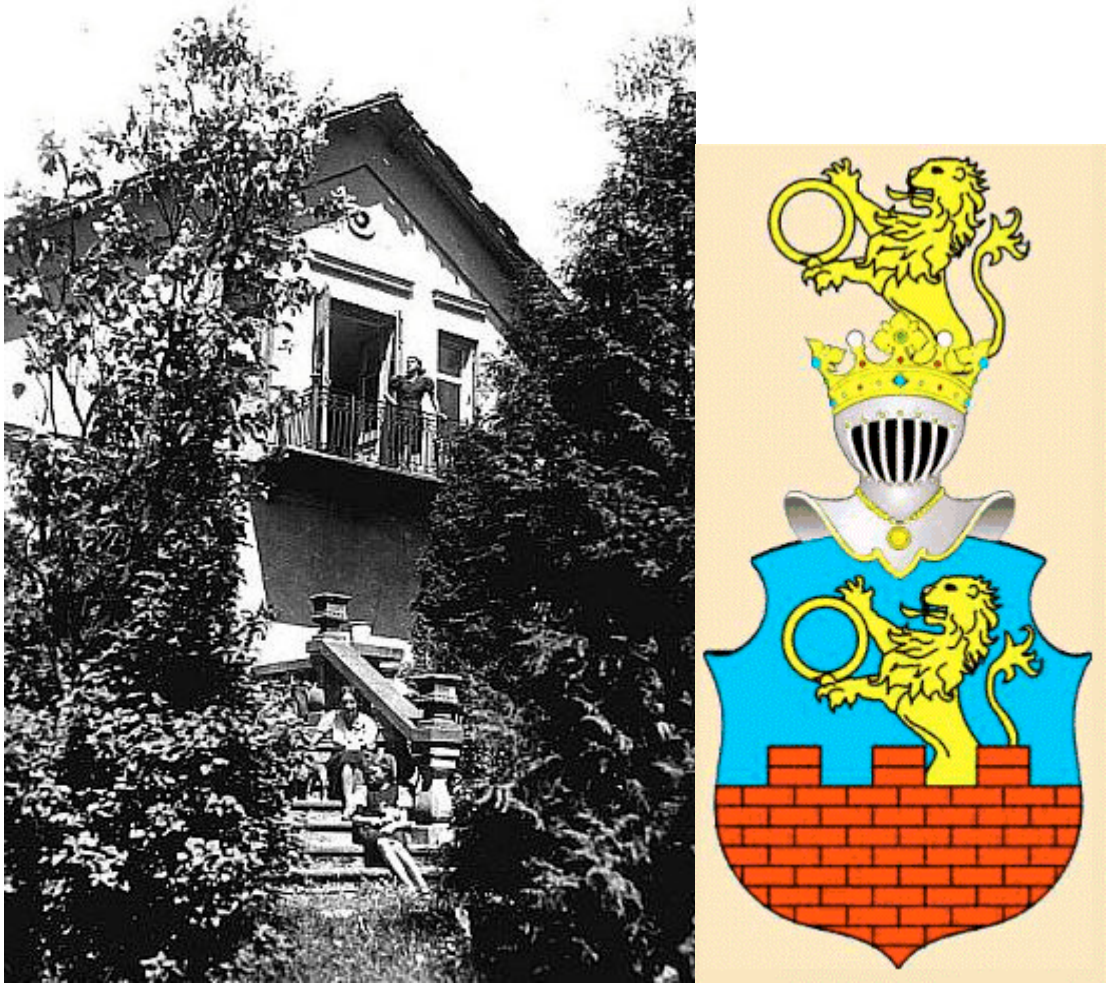

Fot.109. a) Dwór w Dłużniewicach (boczne wejście), b) Herb "Prawdzic"

Fot. 110. Aleja grabowa w Dłużniewicach

Kodeks jej wartości a wśród nich etosu niepodległościowego AK odzyskał nagle prawo głosu. Wraz z mężem aktywnie wiążą się z "Solidarnością". W tym okresie była także obecna w składzie Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszenia Twórców i Naukowców powołanego w Katowicach 6.XI.1980 r. W grudniu 1981 r. internowany został jej mąż Zdzisław Zwoźniak. Lata te były okresem wzmożonej aktywności Reni, a w szczególności działalności podziemnej, kiedy mieszkanie Renaty i Zdzisława staje się ośrodkiem opozycyjnych działaczy. Renia była członkiem podziemnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich oraz członkiem-założycielem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, a więc osobą o autorytecie nie tylko literackim.

Katowice uczciły pisarkę nadając nazwę jednej z ulic - Renaty Zwoźniakowej.

Zmarła 5.I.1997 r.

Piosenka o Nigdy

Na żadnym miejscu i o żadnej dobie
Nigdy i nigdzie nie będę przy tobie
O żadnym czasie i w żadnej przestrzeni
Nic się nie stanie i nic się nie zmieni

Największe światło nie wyrwie mnie z cienia
Przed twoje oczy, na twoje spojrzenia
Największy ogień nie przypali ciepłem
Twej dalekości mrozu, w którym krzepnę

Najlepszy owoc z ziemskiego ogrodu
Już nie nasyci pragnienia i głodu
Najlepszy lekarz nie zaradzi męce
Mojej chorobie i mojej udręce

Najlepszy złodziej dla mnie nie wykradnie
Twego dotknięcia, ani myśli żadnej
Czerwone Nigdy i zielone Nigdzie
To między wami przeżyć życie przyjdzie

W pajęczych nitkach, co mi twarz zasnuły
W daremnych smutkach, co mi świat zatruły
Czerwone Nigdzie i Nigdy w zieleni
Dopóki żyję, nic się nie odmieni

O żadnym czasie z myśli nie odejdziesz
Na żadnym miejscu blisko mnie nie będziesz

Renata Prawdzic-Rudzka Zwoźniakowa

[http://www.alfa.com.pl/slask/200611/sp2.htm]

Zdzisław Zwoźniak

Zdzisława Zwoźniaka (1930-2007) poznałem w Katowicach w latach 50-tych po jego ślubie z Renatą Rudzką, kiedy zamieszkał u Reni w dużym mieszkaniu przy ul. Gen. Zajączka 6. Widywaliśmy się często przy okazji mojej bytności w Katowicach.

Ostatni raz widziałem go gdy w czerwcu 2005 roku przyszedł specjalnie by spotkać się z nami, Elżbietą, Andrzejem, Kazią i mną, kiedy to przez półtorej godziny oczekiwaliśmy na przyjęcie mnie przez prof. Gierkową w Szpitalu Okulistycznym w Katowicach. Dzidek zasługuje w pełni na to abym poświęcił mu w moich wspomnieniach parę słów i aby czytelnicy wiedzieli, że w czasach powszechnego chamstwa i bezczelnego "kaczyzmu" i ignorancji istnieli (choć niewielu) ludzie uczciwi, mądrzy i o wielkich zaletach intelektualnych i, że do nich zaliczam Dzidka.

Zdzisław urodził się 5.VII.1930 w Sosnowcu. W latach 50-tych i 60-tych studiował na Uniwersytecie Wrocławskim polonistykę a następnie (do 1963) na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie prawo.

Pracę dziennikarską rozpoczął w 1954 w "Tygodniku Katolickim" redagowanym przez Tadeusza Mazowieckiego. Następnie pracował jako publicysta w „Gościu Niedzielnym" i „Panoramie". Był członkiem "Solidarności" od września 1980 r. a w roku 1981 redaktorem naczelnym tygodnika „Solidarność Jastrzębie". 13 grudnia 1981 (po ogłoszeniu "stanu wojennego") został internowany (najpierw w areszcie Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Katowicach, a później w obozie dla internowanych w Jastrzębiu Szerokiej). W kwietniu 1982 został przewieziony do Kliniki Chirurgicznej w Katowicach, skąd po operacji i licznych interwencjach biskupa H. Bednorza został zwolniony do domu 10 maja 1982.

Pracując w „Gosciu Niedzielnym" należał do grona bliskich współpracowników Jerzego Buzka, Grzegorza Opali i in., uczestnicząc w pracach podziemnej Regional-

nej Komisji Wykonawczej Regionu jako „Bogdan”.

Nie wyliczam szeregu innych funkcji, gdyż dużą część swego życia poświęcił działalności opozycyjnej.

Miał też duży dorobek literacki jak np. trzy dzieła: "Alchemia", "Kalendarze", "Alter ego dla każdego".

Dzidek miał ponadto duże poczucie humoru, co znalazło odbicie w pracach "Ku pamięci" i "Nie z tej ziemi".

Zmarł 2 maja 2007. Mszę żałobną w katowickiej Katedrze prowadził arcybiskup Damian Zimoń.

Fot. 111. Pogrzeb Dzidka

Zapamiętamy Dzidka jako wybitnego społecznika, energicznego i niezwykle pogodnego i życzliwego.

Prezydent Lech Kaczyński postanowieniem z 9 maja br. pośmiertnie odznaczył go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Andrzej Szczypiorski

Andrzeja Szczypiorskiego (3.II.1928 - 16.V. 2000) poznałem w Katowicach w 1945 roku.

Był to gorący czas w sensie historycznym i politycznym. Okres kształtowania się różnych postaw i poglądów. Wybór odpowiedniej opcji politycznej zależał od stopnia wiedzy, doświadczeń życiowych oraz inteligencji. Okres różnorodnych indywidualnych planów życiowych. Na Ziemiach Zachodnich rozwijał się w pełni tzw. „szaber”.

Równocześnie powstawały różne instytucje państwowe. Zabiegano więc o ludzi młodych i wykształconych, którzy objęliby różne stanowiska w administracji państwowej. Organizowano też różne kursy dla młodzieży, aby dać jej możliwości uzyskania świadectwa maturalnego, innym zaś ukończenia studiów wyższych.

Wówczas byłem zajęty pracami związanymi z otwarciem lokalu gastronomicznego. Chodziłem wtedy na śniadania i obiady do jedynego – otworzonego niedaleko dworca – lokalu. Tam poznałem profesora Staśko, który – jak mi powiedział - organizował kurs dla młodzieży chcącej uzyskać świadectwo maturalne. Jak się okazało. kandydatów na kurs było znacznie więcej niż można było przyjąć.

Mój wspólnik pan Filipczuk miał córkę, która również chciała się na ten kurs dostać. Udało mi się ją na ten kurs zapisać.

Równocześnie dowiedziałem się, że Markowscy zabiegali o przyjęcie na kurs swej córki Ewy – niestety ze skutkiem negatywnym. Postanowiłem wówczas interweniować u profesora Staśki i w efekcie mojej prośby Ewa Markowska została przyjęta.

W rozmowie z profesorem dowiedziałem się, że ma on czterech wybitnych, bardzo zdolnych słuchaczy, a wśród nich wymienił nazwisko Szczypiorskiego.

Na kursie Ewa wpadła w oko Andrzejowi i zaczął on bywać u Markowskich w domu. Był on młodzieńcem przystojnym i mądrym. Pochodził z inteligenckiej rodziny. Ojciec jego Adam, wraz z żoną, przebywał wówczas na emigracji w Anglii, gdzie był członkiem rządu emigracyjnego.

Markowski natomiast był wówczas prokuratorem w Sądzie Apelacyjnym. Minister Sprawiedliwości Świątkowski wezwał wszystkich pracowników, którzy wcześniej pełnili jakieś funkcje w sądownictwie, aby wrócili na swoje stanowiska. Podobnie było w innych resortach. Chodziło bowiem o zorganizowanie i uruchomienie tych instytucji. Według poufnych informacji zamierzano potem zwolnić starszych (dawnych) pracowników na zasadzie – „murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść".

Markowski był przeciwny romansowi Andrzeja z Ewą. Uważał, że Andrzej jest pełen ambicji robienia kariery w tym systemie, nie znając jego faktycznych założeń i zamiarów. Markowski bowiem przez cały czas okupacji był we Lwowie zajętym wówczas przez Rosjan i dobrze wiedział czym naprawdę jest wprowadzany w Polsce system. We Lwowie, aby przeżyć zatrudnił się w Instytucie profesora Weigla jako karmiciel wszy. Instytut zajmował się produkowaniem szczepionek przeciw tyfusowi. Część tych szczepionek udawało się profesorowi Weiglowi, bez wiedzy Rosjan, przeznaczyć dla ludności polskiej.

Markowski, pracując jako prokurator w Katowicach, ośmielił się zamknąć kilku UB-eków, którzy w nocy ograbili sklep delikatesowy. Za ten czyn zwolniono go z pracy. Pracował jeszcze kilka miesięcy w magistracie, lecz wkrótce zmarł.

Po śmierci ojca Ewa postanowiła wziąć ślub z Andrzejem, pomimo niezgody rodziny. Wówczas to na studiach w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim studiowała Renata Rudzka i Zdzisław Woźniak, którzy już wcześniej zaprzyjaźnili się z Ewą i Andrzejem. Aby nie irytować rodziny Andrzej z Ewą wzięli ślub w Lublinie, a świadkami byli Renia i Dzidek. Do Katowic wrócili więc jako małżeństwo.

Nowe władze zabiegały bardzo o to, aby jak najwięcej Polaków wróciło do kraju. Chodziło o to, aby zlikwidować Rząd Emigracyjny. Udało się to w końcu zrobić po kilku latach, gdyż i sama emigracja do tego się przyczyniła na skutek różnych nieporozumień wewnętrznych. Rząd emigracyjny stał się w końcu atrapą, z którą nikt się nie liczył.

Andrzejowi postawiono zadanie ściągnięcia jego ojca do kraju. Obiecywano dla ojca katedrę na uniwersytecie, czego później nie dotrzymano. Ojciec – profesor Adam Szczypiorski – miał poważne zastrzeżenia co do sensu powrotu. Andrzej jednak zapewniał ojca, że będzie miał pełną swobodę działania. W końcu ojciec uwierzył synowi i wrócił do kraju. Andrzej otrzymał potem nominację na attache kulturalnego w Kopenhadze. Niedługo jednak został odwołany ze stanowiska za kontakty z emigracją polityczną – „bez wiedzy i zgody swoich zwierzchników w Warszawie". Wobec tego przez kilka lat dorywczo publikował artykuły w „Odrze", „Polityce" i zamieszczał swe felietony w Polskim Radiu. Pisał też powieści kryminalne (pod pseudonimem Marice S. Andrews) i scenariusze do filmów. Miał też wejście do politycznych salonów w kraju i zagranicą (m.in. u kardynała Wojtyły, księcia Bismarcka, prezydenta Richarda von Weizsäckera i niejakiego Ranickiego). Na pytanie jednego Niemca, gdzie tak dobrze nauczył się języka niemieckiego – odpowiedział – w waszym obozie koncentracyjnym gdzie siedziałem po powstaniu w Warszawie.

W tym czasie współpracował również z mężem Reni Dzidkiem Zwoźniakiem w Komitecie Kultury Niezależnej.

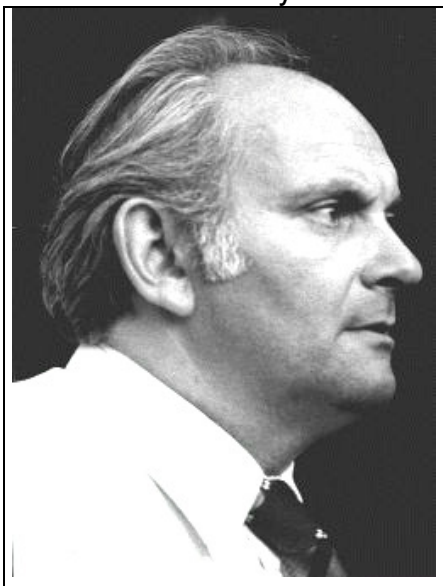

Andrzej Szczypiorski był dziennikarzem, publicystą, dyplomatą i senatorem. przede wszystkim był jednak pisarzem – polskim pisarzem, który odniósł światowy sukces. Jego książki przetłumaczono na kilkadziesiąt języków, wydawane były w milionowych nakładach na całym świecie. Pisano entuzjastyczne recenzje we Francji, Portugalii, Danii, Szwecji, Holandii, we Włoszech, a sukces w krajach niemieckojęzycznych, był niczym w porównaniu z sukcesem jaki jego książki odniosły w Ameryce.

To musiało budzić podziw, ale także niechęć i zawiść. Na łamach prasy wcale nie tak rzadko pojawiały się wypowiedzi pełne jadu. Andrzej Szczypiorski był jednak do tego przyzwyczajony, bo od kiedy zaczął pisać, zawsze znajdowali się tacy, którzy go chętnie atakowali.

Fot. 112. Andrzej Szczypiorski

Mawiał: -*„Jestem wolny od nienawiści i to jest cudowne. Tego życzę wszystkim ludziom na świecie. Nie ma bowiem uczucia bardziej destrukcyjnego, bardziej zżerającego jak nienawiść czy zawiść”.*

Ojciec Andrzeja Adam natomiast w nowo powstałym Komitecie Obrony Robotników pełnił funkcję skarbnika. Miał bowiem dobre kontakty z Zachodem, a więc możliwości uzyskania pieniędzy dla KOR-u.

Moje kontakty z Andrzejem były doraźne tj. w czasie jego bytności w Krakowie, oraz moich wyjazdów do Warszawy. Mieliśmy okazję do przedyskutowania wielu problemów. Muszę powiedzieć, że Andrzej cenił sobie dyskusje ze mną, co kilkakrotnie powiedział mojej córce Elżbiecie.

Zofia i Bronisław Krawczykowie

Na pewno – zbyt późno nawiązaliśmy przyjacielskie stosunki z Zosią i Bronkiem. Stało się tak dlatego, że miałem uraz do krakowskich bankowców w związku z niechętnym przyjęciem mnie oraz rozpowszechnianiem przez nich różnych fałszywych informacji dotyczących mojej osoby. Dlatego początkowo nasze życie towarzyskie wiązało się z ludźmi spoza banku.

Byłem wówczas w bardzo złej kondycji psychicznej: bez mieszkania, w obcym środowisku, po śmierci swojej żony oraz konieczności rozłąki z dziećmi.

Zosia okazała się bardzo szczera, bezpośrednia i życzliwa. Bronek rozważny, ważący każde wypowiadane słowo, okazał się świetnym i obiektywnym partnerem do rozmów na różne tematy.

Wszyscy starzejemy się i tym bardziej potrzebujemy bliskich i prawdziwych przyjaciół. Wszyscy mamy dzieci, które pozakładały już swoje rodziny i mają również swoje problemy i kłopoty.

Bronkowie mają córkę i syna, którzy wraz ze swoimi rodzinami osiedlili się na stałe w USA, gdzie zresztą urodził się także Bronek. My mamy wprawdzie swoje dzieci w Krakowie, ale i one mają swoje problemy.

Zacieśnieniu naszych stosunków przyjacielskich z Zosią i Bronkiem sprzyja także to, że mieszkamy po sąsiedzku i w każdej sytuacji możemy na siebie liczyć.

Fot.113. Krysia Huczkowska i Krawczykowie oraz Kazia

Stanisław Krajewski, Bronisława Jarecka, Gomezowie

Jak już wspomniałem, wspólnie spędzaliśmy urlopy z niektórymi naszymi przyjaciółmi. Jednego roku byliśmy w ośrodku wypoczynkowym CEBEA w Koninkach, w którym pracował Stefan Wacnik i nasz Andrzej (Chmarzyński).

Ośrodek mieścił się w lesistym terenie, nad górskim potokiem. Domki były wygodne, miały nawet elektryczne ogrzewanie oraz stołówkę.

Pewnego dnia wybraliśmy się na spacer południowym stokiem wzniesienia, gdzie były zlokalizowane domy letniskowe zamożnych krakowian. Zainteresowała nas pierwsza duża, drewniana, dwupiętrowa willa z zadbanym ogrodem. Na siatce ogrodzenia umieszczona była tabliczka z napisem: „Dom Pracy Twórczej Biura Projektów …". Zaproponowałem, abyśmy wstąpili i zapytali, czy nie wynajmują pokoi, gdyż dom wyglądał na mało zamieszkany. Nasze panie (Kazia i Ninka) nie miały ochoty by z nami pójść. Zaproponowałem więc Stefanowi, który się zgodził. Poszliśmy obydwaj.

Furtkę otworzyła nam córka właścicieli państwa Krajewskich i zaprowadziła nas do matki. Pani Krajewska poinformowała nas, iż tabliczka jest już nie aktualna, a dom jest ich prywatną własnością. Pokoi dotychczas nie wynajmowali, gdyż nie mają zaufania do obcych. Wówczas odezwał się Stefan: -*„A my chyba nie budzimy obaw?"* Pani Krajewska uśmiechnęła się i powiedziała: -*„Muszę jeszcze porozumieć się z mężem".* Za parę dni zatelefonowałem i otrzymałem zgodę na naszą propozycję. Odtąd zaczęły się nasze częste wyjazdy do Koninek z Wacnikami, naszymi dziećmi lub przyjaciółmi.

Okazało się, że dom był bardzo wygodny, w pełni wyposażony i przystosowany do całorocznego zamieszkania. Posiadał 5 pokoi, salonik i piękny, bardzo duży

taras, z którego roztaczał się wspaniały widok na dolinę z górskim potokiem i otaczające ją wzgórza. Kuchnia też w pełni wyposażona zachęcała do przyrządzania domowych posiłków. Od strony północnej do ogrodu przylegała bardzo duża, stroma łąka otoczona lasem, na którą przychodziły między innymi śliczne sarenki. Łąkę zresztą wykupili późniejsi właściciele domu.

Czuliśmy się tam bardzo dobrze. Na obiady chodziliśmy do kawiarni „Janina", której właścicielką jest Janina Tram.

Dowiedzieliśmy się, że Pan Krajewski zaprojektował i wybudował ten dom z myślą o swoich rodzicach, aby mogli tam przyjeżdżać i odpoczywać będąc na emeryturze. Niestety, niedługo ojciec pana Stanisława umarł na serce, a w następnym roku – jadąc do Koninek na Wigilię – zginęła też matka w wypadku samochodowym.

W okresie „Solidarności" następowały różne zmiany organizacyjne w przedsiębiorstwach, w związku z czym Pan Stanisław stracił pracę. Jako inżynier z zawodu podejmował się realizacji różnych dorywczych zleceń, ale dom wymagał ciągłych i znacznych wkładów finansowych. Ogłosił więc w prasie, że zamierza dom sprzedać.

Pewnego dnia podczas naszego pobytu w Koninkach przyjechało małżeństwo chętne do kupienia domu. Jak się okazało była to Polka pracująca w Brukseli w Radzie Europy wraz z mężem Hiszpanem, dziennikarzem.

Byliśmy zasmuceni przewidywaną transakcją. Wówczas to pan Krajewski zażartował: -*„Sprzedam państwu ten dom, ale razem z rezydentami"* (tzn. z nami). Wszyscy uśmiechnęliśmy się, a pani Gomez powiedziała: -*„Nic nie będziemy mieli przeciwko temu, jeśli w czasie naszej nieobecności, moja matka, która tu będzie z Krakowa przyjeżdżać, zgodzi się".*

Gomezowie zainteresowali się również moimi dwoma obrazami wiszącymi w saloniku i następnie złożyli nam wizytę w Krakowie. Wkrótce poznaliśmy matkę pani Gomez – uroczą panią Jarecką. Po pewnym czasie zostaliśmy zaproszeni do Koninek. Jak zwykle – Kazia przypadła do gustu pani Jareckiej.

W tym miejscu chciałbym złożyć pewne wyjaśnienie. Moja od dawna przyjaciółka Krysia Huczkowska również z domu nazywała się Jarecka, ale to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk.

Fot. 114. a) Dom Krajewskiego a potem Gomezów w Porębie-Koninkach;
b) Pod kawiarnią "U Janiny": Ninka, jej wujek Stanley, Janina Tram, Kazia i Hanka (córka Ninki)

Końcowe refleksje

Mam pełną świadomość, że "wspomnienia" napisane są dość chaotycznie, co wymagałoby ich uporządkowania. Na to nie mam już czasu, a przede wszystkim sił. Z każdym dniem czuję się coraz gorzej.

Żałuję, że tak późno podjąłem się tej pracy.

Wspomnienia są ważne dla mnie i ewentualnie mogą być interesujące dla mojej żony, dzieci, wnuków i znajomych, ale niezrozumiałe i banalne dla innych.

Uważam, że ich zaletą - a również moją dużą satysfakcją - byłoby przyczynienie się do przemyśleń wielu problemów naszego życia i pojęcia odpowiednich działań.

Zdaję sobie przy tym sprawę z ograniczonych możliwości realizacji różnych zamierzeń w życiu z uwagi na nieprzewidywalne sytuacje oraz fakt, że wielką rolę w życiu odgrywa także czysty przypadek.

Moje poglądy

To co poniżej napiszę, to nie są jakieś prawdy odkrywcze, a tylko wyniki moich przemyśleń na temat: co jest ważne w życiu i co powinno skłaniać każdego do kontroli nad emocjami. Ciągła walka prowadzi bowiem do zniszczenia, a tylko wiedza, namysł, rozmowa i kompromis jest drogą do mądrości życiowej.

1. Instynkty

Natura "obdarzyła" nas, a raczej obciążyła, kilkoma instynktami:

- instynkt samozachowawczy - a więc **walka** o istnienie (żywność, partner, miejsce w grupie i t.p.). Często walka ta przybiera bardzo ostre formy. Tu również należy zaliczyć **instynkt macierzyński** (ojcowski zdarza się wyjątkowo). Nie ma natomiast instynktu opiekuńczego nad rodzicami, ten bowiem stworzyła dopiero kultura. Według natury rodzice zrobili swoje w zakresie prokreacji a więc mogą odejść na śmietnik życia.
- instynkt płciowy - wywiera bardzo silną presję psychofizyczną na zaspokojenie go, co powoduje także istnienie różnych zboczeń.

Wyżej wymienione instynkty - zdaniem niektórych uczonych - ograniczają tzw. "wolną wolę", a szereg działań w wyniku tych instynktów bywa w sprzeczności z zasadami etyki.

I tak kółko natury kręci się od urodzenia, przez walkę o przetrwanie, prokreację, aż do śmierci. I znów to samo, w kółko - da capo al fine.

Dlatego wątpliwe jest aby nastał pokój, skoro w naturze ludzkiej zakodowana jest walka. Na pokój czekamy już przez dwa tysiące lat naszej ery, to jest od kiedy usłyszeliśmy słowa: "pokój wam". Piękna to i szlachetna idea, ale czy jest ona do zrealizowania?

2. Społeczeństwo - władza

Od wieków - początków cywilizacji - podejmowano próby zorganizowania się w grupy mniejsze lub większe, poczynając od związków rodzinnych a kończąc na organizmach państwowych o różnych ustrojach. Życie bowiem we wspólnotach jest bezpieczniejsze i korzystniejsze. Jednostki samotne, małe i słabe żyją w ciągłej czujności i strachu przed dużymi i silnymi. Ci ostatni zaś w ciągłym przemyśliwaniu jak sprytnie utrzymywać lub zwiększać swój stan posiadania.

My żyjemy w ustroju demokratycznym, który jednak jest zróżnicowany w po-

szczególnych krajach. Ma on zalety i wady co powinno skłaniać nas do korygowania go i ulepszania, jednak bez naruszania podstawowych zasad tj.: **równości** wszystkich wobec prawa i **wolności** do wypowiadania swoich poglądów oraz możliwości **kontroli** działań władzy (trybunały).

Korekta dotychczasowych ustaleń powinna dotyczyć zasad wyboru posłów i senatorów. Skoro istnieją powszechne wymogi, aby każdy podejmujący jakąkolwiek pracę posiadał odpowiednie kwalifikacje (lekarz, nauczyciel, szewc), to tym bardziej wymóg taki powinien być stawiany posłom. Powinni oni posiadać odpowiednie wykształcenie (prawnicze, ekonomiczne, socjologiczne, historyczne) oraz ewentualnie kilkuletnią praktykę.

Błąd popełniony przez zwykłych pracowników dotyczy jednostek, natomiast błędy posłów w zakresie legislacji są niekorzystne dla społeczeństwa.
Byłoby to realne sito ograniczające dostęp do tak ważnych funkcji ludziom nieodpowiednim, mającym na oku tylko własny interes. Obecna sytuacja w sejmie wykazuje, że jeszcze nigdy w dziejach parlamentaryzmu polskiego nie było tak źle jak obecnie. Dzieje się tak dlatego, że elity (inteligencja) zostały zniszczone w okresie wojny a nowe jeszcze się nie tworzą.

3. Polityka

Polityka jest sztuką osiągania założonych celów przy użyciu wszystkich dostępnych środków. Pogląd, że polityka może być etyczna i sprawiedliwa można włożyć między bajki. Polityka jest walką grup o różnych rozbieżnych interesach o zdobycie władzy. Jan Nowak Jeziorański - wybitny patriota polski - zakładał, może zbyt idealistycznie, że dobry i uczciwy polityk powinien przed podjęciem ważnej decyzji postawić sobie pytanie: "czy to będzie dobre dla Polski, dla mojego kraju?" Miał rację, ale to dotyczyło takich mężów stanu jak Clemanceau, Piłsudski, de Gaulle itp czyli dość nielicznej grupy osób.
Trudności nawet uczciwego polityka polegają na tym, że chcąc realizować dobry pomysł musi uzyskać poparcie większości elektoratu, a to jest niezmiernie trudne. Wówczas to niektórzy podejmują działania aby ten elektorat "kupić".
Dla przykładu: ekipa braci Kaczyńskich kupiła sobie elektorat chłopski.

4. Gospodarka

Podstawą rozwoju państwa jest właściwa gospodarka. Dziś już nikt nie ma wątpliwości, że najefektywniejsza jest gospodarka rynkowa. Trudności wprowadzenia jej w Polsce polegały na tym, że społeczeństwo nie rozumiało, iż przejście z gospodarki administrowanej przez państwo na rynkową, wymaga odpowiedniego czasu i wiedzy. Reformy Balcerowicza okazały się bardzo efektywne i obecnie gospodarka działa prawidłowo a owoce tych przemian zbiera obecna ekipa rządowa. Niestety, znaczna część nieuświadomionego społeczeństwa obrzuca błotem twórców tych korzystnych przemian.

5. Religia

Od pradziejów, ludzie zagubieni w nieznanym i wrogim świecie, zawsze szukali stwórcy tego świata, który jednocześnie czuwałby i kierował wszystkim, co się na nim dzieje.
Chrystianizm jest religią monoteistyczną, która trwa "zaledwie" przeszło 2 tysiące lat.
Wiara, każda wiara, powinna być osobistą sprawą każdego człowieka i być wyłączoną od polityki i rządów świeckich. Takie powiązanie bowiem nie służy żadnej ze stron, co wykazała praktyka. Każda strona powinna mieć pełną swobodę regulowa-

nia swojej działalności. Współpraca między stronami powinna być uregulowana w umowie t.j. konkordacie. Tak jest obecnie w Polsce.
Ja przed wojną bardzo interesowałem się tymi problemami i często brałem udział - oczywiście jako słuchacz a nie dyskutant - w różnych dyskusjach. Posłużę się tylko jedną wypowiedzią, z którą się całkowicie zgadzam, znanego socjologa ateisty prof. Floriana Znanieckiego, który m.in. powiedział: "wiara jest sprawą prywatną i osobistą każdego człowieka, który przyjmuje takie poglądy jakie dają mu poczucie bezpieczeństwa i zadowolenia z dokonanego wyboru. Rozmowę na temat religii będę prowadził tylko z ludźmi dobrze zaznajomionymi z tym tematem. Jestem przeciwnikiem walki z Kościołem." Tyle prof. Znaniecki.

Mam często na myśli dwa dramatyczne zawołania:

- pierwsze - ponad 2 tysiące lat temu - Jezusa na krzyżu: "Boże czemuś mnie opuścił!"
- drugie - obecnego papieża Benedykta XVI w Oświęcimiu: "Gdzie byłeś wówczas Panie?" - a czy tylko wówczas?

Obydwa zawołania są tragicznymi głosami z których wynika zarówno zarzut jak zawód z powodu braku reakcji na zło, okrucieństwo i bezprawie, które i dzisiaj w różnych częściach świata się ujawniają, przy "doskonaleniu" metod zabijania i zagłady.

6. Ziemiaństwo, arystokracja, elity inteligenckie

Stanisław Lem - w jednej ze swych wypowiedzi poruszył sprawę konieczności naukowego opracowania problemu zniszczenia elit. Sądzę, że część światłego społeczeństwa oczekuje tego. Należy jednak odróżnić przyczyny i skutki zejścia ze sceny społecznej i politycznej ziemiaństwa i arystokracji od wyeliminowania elit (inteligencji i fachowców) w znacznej części wymordowanych w/g wskazań Hitlera i Stalina: "jeśli zniszczymy elity to z motłochem damy sobie radę". I tak ostatnio motłoch i chamstwo doszło także do władzy - jak to dosadnie określił w swych wspomnieniach Zdzisław Zwoźniak. Przewodzi im obecnie PIS wraz z Leperem i Giertychem, którzy obsadzają różne stanowiska w administracji i spółkach swoimi ludźmi, nie przygotowanymi do pełnienia tych funkcji.
Za głosy wyborców bowiem trzeba płacić i to słono.
Jednocześnie głosi się i realizuje hasła walki i nienawiści a nie konsultacji i kompromisu. Resztki elit natomiast poniża się nazywając je "wykształciuchami".
Jeśli chodzi o ziemiaństwo i arystokrację to - jak mogłem się dowiedzieć z licznych rozmów - pewna ich część miała świadomość, że ich "epoka historyczna" bezpowrotnie się skończyła. I tak np. hrabiowie Rzewuski, Stadnicki, Skrzyński (przyjaciel Zdzisława Huczkowskiego) uważali, że ich szansą przetrwania jest wykształcenie, zdobycie odpowiedniej pracy oraz umiejętność zaadaptowania się do zaistniałej rzeczywistości.
Nie mogli jednak przewidzieć, że np. z uzyskaniem wyższego wykształcenia będą mieli trudności z powodu "niewłaściwego pochodzenia" (jak Renata Prawdzic-Rudzka). Inni jak np. hr. Zamojski czy hr. Cezary Plater (przyjaciel Zenia) uważali, że jeśli się ma jakieś zasoby za granicą - należy wyjechać.
Uważam więc, że ziemiaństwo i arystokracja stali się "umarłą klasą" i rozdział ten został zamknięty. Uległem jednak namowom swoich dzieci, które chciały poznać pewne szczegóły o przeszłości swojej rodziny.

Wracając do aktualnej rzeczywistości społeczno-politycznej mam pewną nadzieję, że

po jakimś czasie ukształtuje się nowa elita. Obecnie, co jest zrozumiałe, młodzi koncentrują się na zdobyciu wykształcenia i następnie pracy oraz założenia domu i rodziny.
Po osiągnięciu tej stabilizacji życiowej, zjawią się zapewne potrzeby intelektualne, bo taka jest kolej rzeczy.
Wspomnę, że w okresie powstania "Solidarności" była lansowana zasada, moim zdaniem dość naiwna: "być czy mieć" Uważam jednak, że najpierw trzeba osiągnąć stabilizację materialną. Być wówczas wrócą do powszechnego obiegu zapomniane dziś słowa i pojęcia: solidność, godność, honor, ...
Być może ...

Moje dewizy

Tak się złożyło, że moje wykształcenie opiera się na silnych podwalinach kultury grecko-rzymskiej (gimnazjum staroklasyczne) a następnie na autorytetach w zakresie prawa, socjologii i ekonomii.
Stąd często posługuję się różnymi dewizami, które zostały wymyślone jeszcze w starożytności.
Na zakończenie posłużę się tylko jedną:

"Cokolwiek robisz, rób to rozsądnie (mądrze)
i bacz (przewiduj) jaki może być koniec"

Trzeba jednak mieć na uwadze fakt, że wszystko co się dzieje - w pewnym stopniu - jest kwestią przypadku.

Podziękowania

Serdecznie dziękuję za pomoc w napisaniu „Wspomnień”:

- Andrzejowi – za przepisanie i nadanie pięknej szaty graficznej;
- Zbysiowi – za przygotowanie i wstawienie zdjęć, wyszukanie dodatkowych materiałów oraz końcowe redagowanie i powielanie
- Elżbiecie – za wyszukanie i skompletowanie różnych zapisków i danych dotyczących naszej rodziny i dokonanie niektórych korekt;
- Kazi – za czytelne spisywanie dyktowanych wspomnień i pomoc w ich korekcie

oraz

wszystkim tym czytelnikom, którzy doczytali je do końca.

Kraków, maj 2007 roku

Dodatki

Rarogiewicze w USA

w/g find.intelius.com

Name	**Previous cities**	**Relatives**
Jason A.Rarogiewicz (age 34)	East Lyme, ct; Plantsville, ct; Tacoma, wa; Mc Chord Air Force Base, wa; New London, ct; Hanscom afb, ma Apo, ap; Jewett city, ct; Voluntown, ct; Canterbury, ct	Kathleen ll Rarogiewicz Kathleen l Rarogiewicz Rebecca l- l Rarogiewicz Rich l Rarogiewicz Barbara l Rarogiewicz B Rarogiewicz Rick l- l Rarogiewicz
Christopher R. Rarogiewicz (age 38)	Springfield, ma; Windsor locks, ct; East Haddam, ct; Norwich, ct; Moodus, ct; Canterbury, ct; Ludlow, ma; Indian Orchard, ma	Jason A. Rarogiewicz; Mary S. Rarogiewicz
Kathleen ll Rarogiewicz (age 59)	Jewett city, ct;	Rich l Rarogiewicz Rick l Rarogiewicz
Kathleen l Rarogiewicz	Voluntown, ct;	
Thaddeus l Rarogiewicz (age 79)	Pasadena, ca ; Temple city, ca	
B Rarogiewicz	East lyme, ct	J Rarogiewicz
Lucian Walter Rarogiewicz (age 72)	Monrovia, ca; Los angeles, ca; Mount wilson, ca	
Rebecca l-l Rarogiewicz (age 32)	Norwich, ct	
K l Rarogiewicz	Griswold, ct	
Cathy Rarogiewicz	Mineral ridge, oh; Canfield, oh; Atlanta, ga; Decatur, ga	Mary Cathy Rarogiewicz Michael R Rarogiewicz Mike R Rarogiewicz
Lu Rarogiewicz	Pasadena, ca	
Lucian W. Rarogiewicz	Los gatos, ca	
Rebecca l Rarogiewicz (age 59)	Voluntown, ct	Rich l Rarogiewicz
Rebecca Rarogiewicz	Norwich, ct	
Christopher Rarogiewicz	Springfield, ma	
Michael Rarogiewicz (age 61)	Youngstown, oh	
Rick l Rarogiewicz	Preston, ct	
Jay Rarogiewicz	Norwich, ct	

Moje malarstwo

Jak już wspomniałem, w Gnieźnie w okresie rekonwalescencji (po przewlekłym zapaleniu płuc zacząłem malować.

Wówczas w nauce malarstwa przyjęta była zasada, że należy ją rozpoczynać od nauki rysunku. Po opanowaniu tej umiejętności należało przejść do naszkicowania projektu zamierzonego obrazu, uwzględniając przede wszystkim odpowiednią kompozycję poszczególnych obiektów i szczegółów.

Jeśli na przykład przy malowaniu w plenerze pejzarzu przeszkadza nam jakieś drzewo, należy je "wyciąć" w swoim obrazie.

Malarstwo nie jest bowiem fotografią. Odnosiło się to do strony technicznej malarstwa.

Ponadto malarz musi mieć talent i wyobraźnię, spostrzegawczość oraz umiejętność przeniesienia swoich malarskich pomysłów na papier lub płótno, celem wyzwolenia u widza odpowiednich przeżyć estetycznych - względnie, jak sądzą niektórzy, a czego nie podzielam - obrzydzenia.

W okresie wakacji w latach 1926–28 wyjeżdżaliśmy na wakacje do Bystrej Śląskiej do pensjonatu dr. Szarewskiego. W Bystrej mieszkał także – będąc już na emeryturze - Julian Fałat, były rektor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, znajomy mojej Mamy z okresu jej młodości.
Była więc okazja poproszenia Mistrza Fałata o ocenę moich pierwszych prac malarskich. Mistrz zgodził się, abym przychodził do niego, by poduczyć się sztuki malarskiej. Ocenił moje malarstwo bardzo dobrze, ale przestrzegł, że jest to bardzo ciężki kawałek chleba. Jeśli nie ma się pasji, to lepiej traktować je jako hobby.

Fot. 115. Julian Fałat (w środku)

I tak przez okres trzech kolejnych lat wakacji przyjeżdżałem do Bystrej i chodziłem do Fałata, aby trochę się poduczyć. W ostatni rok pobytu tj. 14.08.1928 przyszedłem,

aby się pożegnać. Wówczas to Fałat napisał na karcie zaproszenie dla mnie na 80-tą rocznicę swoich urodzin.

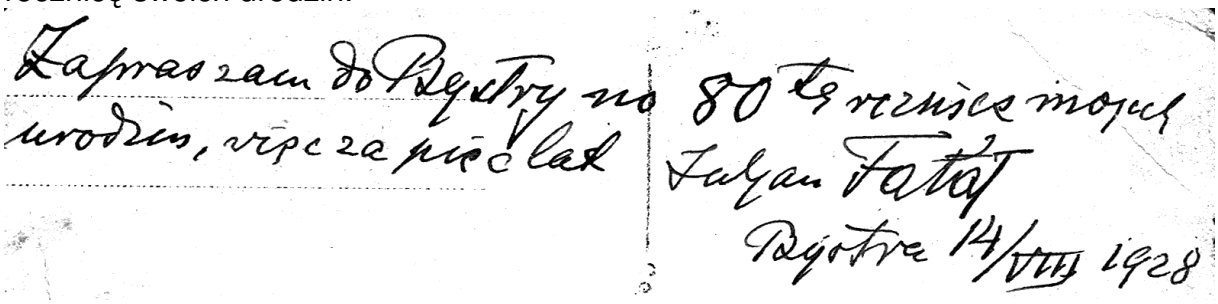

Fot. 116. Zaproszenie od Juliana Fałata

Zaproszenie to przechowuję do dziś jako cenną pamiątkę. Niestety, Fałat rocznicy tej nie doczekał.

Ja natomiast, ze względu na zbliżającą się maturę, a następnie studia, zmuszony byłem przerwać malarstwo, aż do czasu przejścia na emeryturę tj. do 30 czerwca 1976 r.

Wówczas wróciłem do mojego malarstwa.

Był to okres intensywnej pracy. Ukończyłem bowiem kurs prowadzony przez profesora Hodysa w „Piwnicy pod Baranami", uczestniczyłem również w kilkunastu wystawach zbiorowych i trzech wystawach indywidualnych (Kraków, Katowice, Wojnicz). W rezultacie namalowałem ponad 600 obrazów, w tym 300 darowałem lub sprzedałem.

Ostatni obraz namalowałem w 2004 roku mając 94 lata. Przestałem malować z powodu zaćmy (operacja 4.09.2002) oraz degeneracji siatkówki w drugim oku, spowodowanej wiekiem.